



pośłanie

Pismo ewangelizacyjne Wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym POŚLANIE

Zbawienie jest za darmo
ks. Artur Szymczyk

To całkowicie inny świat
wywiad z o. Tomaszem Świtałą OFMCap



JEDEN DUCH I JEDNO SERCE
OŻYWIAŁY WSZYSTKICH WIERZĄCYCH

(Dz 4,32)

W NUMERZE:

- 1** ŻYCIE WE WSPÓLNOCIE JEST CUDOWNĄ PRZYGODĄ
Izabela Surmacz
- 5** WSPÓLNOTA MODLIŁA SIĘ ZA MNIE
świadełwo
- 7** WSPÓLNOTA JAKO DAR OTRZYMANY OD BOGA
świadełwo
- 8** JAK ŻYĆ WEDŁUG DUCHA?
Tomasz Kalniuk
- 9** OTWORZYŁAM SIĘ NA UWIELBIENIE
świadełwo
- 10** ZBAWIENIE JEST ZA DARMO
ks. Artur Szymczyk
- 16** JEZUS ZANURZYŁ MNIE W SWOICH RANACH
świadełwo
- 17** LEKARZ BYŁ ZASKOCZONY
świadełwo
- 18** WSZYSTKO MI WOLNO
Dagmara Krzyżanowska
- 20** TYLKO TY MOŻESZ WYPEŁNIĆ SERCA GŁÓD
Katarzyna Ciesielska
- 22** O KOŚCIELE CIERPIĄCYM W CZYŚĆCU
Agnieszka Kozłowska
- 25** JESIENNY PEJZAŻ
Dagmara Krzyżanowska
- 26** TO CAŁKOWICIE INNY ŚWIAT
wywiad z o. Tomaszem Świtałą OFMCap

*Jeden duch i jedno serce
ożywiały wszystkich wierzących (Dz 4,32)*

Czy rzeczywiście wiara jest moją prywatną sprawą? Czy nie potrzebuję z nikim się nią dzielić, a modlić się mogę w samotności? Czy Kościół to tylko instytucja, sformalizowana struktura i tradycja? Jezus, gromadząc wokół siebie uczniów, zostawił im cenny dar – wspólnotę. Odtąd wysyłał ich po dwóch, by głosili Dobrą Nowinę tam, gdzie zamierzał sam przybyć. Apostołowie zgromadzili się w Wieczerniku po dramacie ukrzyżowania Mistrza i tam trwali też na modlitwie w oczekiwaniu dnia Pięćdziesiąticy. Owszem, Jezus miał z nimi osobistą relację, ale chciał, by każdy z nich budował więź ze wspólnotą uczniów.

Nie doceniamy dziś daru Kościoła, traktując go często z dystansem i oschłością, wszelkie zgromadzenia i liturgię podejmując raczej z obowiązku niż z radości wspólnego świętowania wydarzeń zbawczych. Podobnie rzecz się ma ze wspólnotami w Kościele. Ich bogactwo duchowe i różnorodność pozwala nam odnaleźć się w którejś z nich, aby stać się częścią mistycznego Ciała Chrystusa, do którego przecież każdy ochrzczony przynależy. To uczestnictwo powinno być świadome i konsekwentne, gdyż poprzez nie jesteśmy obdarowywani i ubogacani, a równocześnie stajemy się darem dla innych. Jest to więc zarówno przywilej, jak i zadanie. Tymczasem wielu, nie rozumiejąc tego zobowiązania, zachwyca się na chwilę, zagarnie coś dla siebie, po czym – w poczuciu nienasycenia lub niezadowolenia z niespełnionych oczekiwań – odchodzi. *Czy i wy chcecie odejść?* – pytał Jezus uczniów, którzy zgorszyli się nauką o chlebie z nieba, bo nie tego się spodziewali, idąc za Chrystusem. Odpowiedzieć musimy i my, a potem wytrwale potwierdzać ten wybór w codziennym życiu.

W imieniu redakcji
Agnieszka Kozłowska

Izabela Surmacz

Życie we wspólnocie jest cudowną przygodą

Tak określił życie we wspólnocie Jean Vanier. Założył on w 1964 roku Arche – wspólnotę osób z niepełnosprawnością intelektualną. Z niej zrodził się ruch, który obejmuje obecnie 131 innych wspólnot na całym świecie. Po kilkunastu latach życia we wspólnocie Arche Vanier napisał książkę *Wspólnota miejscem radości i przebaczenia*. Można w niej znaleźć wiele uwag dotyczących zarówno osób żyjących w rodzinie, jak i spotykających się w grupie modlitewnej.

Wiele osób do nich należy, inni zastanawiają się, po co im one, jeszcze inni odeszli od nich. Warto uczynić refleksję nad wspólnotą, nad swoimi motywacjami bycia w niej oraz przyjrzeć się etapom, jakie towarzyszą trwaniu we wspólnocie.

Wspólnota modlitewna to miejsce święte, *bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich* (Mt 18,20). Żywa obecność Jezusa przemienia, uświęca i prowadzi człowieka do pełni błogosławieństwa i wolności właśnie we

wspólnocie. Już od początku Kościoła Apostołowie *trwali jednomyślnie na modlitwie razem z niewiastami, Maryją, Matką Jezusa, i braćmi Jego* (Dz 1, 14).

Trwanie we wspólnocie jest procesem. Dla osób, które decydują się przyjść i w niej być, pierwszy okres jest prawie zawsze sielankowy. Wiąże się zazwyczaj z doświadczaniem miłości Boga i ludzi, z radością, zachwytem grupą. Wtedy wydaje się, że spotkania są stworzone dla nas, pieśni brzmią pięknie, modlitwa jest mocna, konferencje – ciekawe. Nie doświadcza się zazwyczaj trudności, aby co tydzień przychodzić na spotkanie modlitewne. Nie odczuwa się zmęczenia ani znużenia. Nie dostrzega się wad, a zauważa same zalety. To cudowny czas, ale, niestety, ten okres nie trwa wiecznie.

Na pewnym etapie bycia we wspólnocie pojawia się kryzys, rozczarowanie, na ogół związane z uczuciem osamotnienia i niezrozumienia. W tym czasie do głosu dochodzą wątpliwości, zaczyna się



 **postanie**

Nr 6/94/2016

Pismo ewangelizacyjne
Wspólnoty Odnowy w Duchu
Świętym **POSŁANIE**
działającej przy Kościele
Wniebowzięcia Najświętszej
Maryi Panny w Toruniu

WYDAWCA:

Katolickie Stowarzyszenie
Ewangelizacyjne „Postanie”

PREZES STOWARZYSZENIA:

Ewa Leszczelowska

ASYSTENT KOŚCIELNY:

ks. prałat mgr Józef Nowakowski

REDAKTOR NACZELNY:

Dagmara Krzyżanowska

REDAKCJA PISMA:

Agnieszka Kozłowska, Renata Czerwińska

WSPÓŁPRACA:

Ewa Leszczelowska, Katarzyna Ciesielska,
Tomasz Kalniuk, Izabela Surmacz

OPRACOWANIE GRAFICZNE I

ŁAMANIE KOMPUTEROWE:
Marta Kalniuk, Agata Rochecka

OKŁADKI:

Marta Kalniuk

ZDJĘCIA NA OKŁADKACH:

Tomasz Książczak

KONTAKT:

wspolnota@postanie.pl

ADRESY NASZYCH STRON:

www.postanie.pl
www.facebook.com/postanie

ISSN 1734-7602

DRUK: Drukarnia Loretańska,
Warszawa - Rembertów

podważać wcześniejsze wybory, decyzje i autorytety, widać jedynie wady i słabości innych ludzi oraz braki wspólnoty. Pojawia się obmawianie, szemranie – jeśli nie zewnętrzne, to bunt ujawnia się choćby w sercu. W tym czasie odczuwa się zniechęcenie. Nie chce się uczestniczyć w spotkaniu wspólnotowym i łatwo usprawiedliwia się swoją nieobecnością. A kiedy przychodzi się na spotkanie, to wszystko na nim drażni, poczynając od pieśni, gestów modlitewnych, słów modlitwy, interpretacji Słowa Bożego, nauczania, po prowadzącego spotkanie. Klębią się myśli, że nic się nie zmienia, nic mi to nie daje. Pojawia się pytanie: odejść czy zostać?

Jeżeli odchodzimy, grozi nam zatrzymanie się na etapie miłości własnej, własnych wizji, na tym, że będziemy jak „niedokończone budowle” z poczuciem frustracji i niespełnionego powołania do wspólnoty.

Jeżeli zostajemy we wspólnocie i uda nam się przejść przez ten okres kryzysu, wchodzimy w trzeci etap – realizmu, prawdziwego zaangażowania we wspólnotę. Dokona się to, jeżeli w czasie kryzysu podejmiemy gorliwszą modlitwę i rozeznanie, co jest w moim sercu, od jakiego ducha pochodzą pojawiające się myśli. Gdy uczciwie zastanowimy się, po co jesteśmy we wspólnocie, rozpoznamy pragnienie bycia w niej dla Boga, dla oddania Mu chwały, a nie dla realizacji siebie i swoich planów. Jeśli po dokonanej rozeznaniu ostatecznie zdecydujemy się pozostać, wtedy zacznie się etap służby, wejścia w konkretne posługi. Kiedy już uświadomimy sobie, że nie jesteśmy we wspólnocie tylko po to, by brać, ale by dawać, będziemy zapuszczać w niej korzenie. Można to podsumować słowami, że do wspólnoty przychodzi się po to, żeby być szczęśliwym. Zostaje się w niej, żeby uszczęśliwić innych. Jednak aby przejść do etapu zakorzeniania się we wspólnocie, potrzeba nam pokory, czyli znajomości prawdy o sobie w świetle Bożym.

Z jednej strony wspólnota jest miejscem, gdzie doświadczamy miłości, mocy Boga, radości i otwartości innych ludzi, gdzie wnosimy swoje obdarowania, talenty i umiejętności. Z drugiej strony, przychodząc do wspólnoty, wnosimy też wszystko to, co nie jest święte w naszym życiu, swoje słabości, grzechy, ograniczenia. Kiedy zaczynamy przebywać z innymi, to odkrywamy swoje słabości, trudności w komunikacji, swoje zahamowania oraz pragnienia, które są nie do spełnienia przez kogokolwiek. Dopóki jesteśmy sami lub pozostajemy w zdystansowanych relacjach z innymi lub tylko przebywamy w gronie najbliższych osób funkcjonujących w dobrze utartych schematach, możemy wierzyć, że jesteśmy mili i że wszystkich kochamy, ale angażując się we wspólnocie, zaczynamy widzieć, jak bardzo jesteśmy niezdolni do miłości.

Wytrwamy we wspólnocie, gdy zaakceptujemy prawdę o słabościach i zranieniach natury ludzkiej i

gdy przejdziemy od postawy „wspólnota dla mnie” do „ja dla wspólnoty”. *Aby serce mogło przejść tę drogę od egoizmu do miłości (...), niezbędne są czas i liczne oczyszczenia, ciągle umieranie po to, by zmartwychwstawać na nowo. Aby kochać, trzeba nieustannie umierać dla swoich poglądów, swojej wrażliwości, swojej wygody. Droga miłości utkana jest z ofiar. Korzenie egoizmu, głęboko tkwiące w naszej podświadomości, wyzwalają często pierwsze reakcje obrony, agresji i szukania własnej przyjemności.*

Trzeba być świadomym, że we wspólnocie istnieją ludzie do siebie podobni i wtedy bardzo szybko się odnajdują. Lubimy być w pobliżu kogoś, kto się nam podoba, kto ma ten sam sposób patrzenia na życie. We wspólnocie funkcjonują również „antypatie”. *Zawsze znajdują się tam osoby, z którymi się nie rozumiem, które mnie hamują, przeciwstawiają się mi i dławią moją energię życiową i wolność. Ich obecność zdaje się mi zagrażać i wywołuje we mnie agresję (...). Inni budzą we mnie uczucie zazdrości i zawiści; są tym, kim ja chciałbym być, a ich obecność przypomina mi, że tym nie jestem. Ich promieniowanie i inteligencja potwierdzają moje własne ubóstwo. Inni znowu żądają ode mnie zbyt wiele. (...) Wszystkie te osoby są moimi „wrogami”.* To właśnie konfrontacja z „wrogiem” uświadamia nam własne słabości i wady oraz wyzwala przejawy braku dojrzałości. Jest rzeczą naturalną, że istnieją w nas zahamowania wobec nieprzyjaciela, jednak chodzi o to, aby nie kierować się uczuciami, ale świadomie zdecydować się przełamywać bariery.

W chrześcijańskich wspólnotach Bóg jak gdyby upodobał sobie wzywać do tej samej grupy osoby po ludzku bardzo różne, pochodzące z bardzo różnych środowisk, o różnych osobowościach i temperamentach. Zmusza to każdego do przekraczania sympatii i antypatii po to, by kochać drugiego człowieka z jego odmiennością. Osoby te nigdy by nie wybrały życia wspólnego z innymi. Po ludzku wydaje się to wezwaniem niemożliwym, ale właśnie dlatego, że jest niemożliwe, osoby te uzyskują wewnętrzną pewność, iż Bóg wybrał je do życia w tej wspólnocie. Niemożliwe staje się wówczas możliwe. Nie jest to już wybór oparty o własne, ludzkie zdolności ani o sympatie, lecz osoby te są przekonane, że Ojciec je wezwał do życia wspólnego.

(...) Jezus wybrał do życia z Nim w pierwszej wspólnocie Apostołów różniących się między sobą: Piotra, Mateusza (celnika), Szymona (zelotę), Judasza... Nigdy nie chodziliby razem, gdyby Nauczyciel ich nie wezwał.

Święty Paweł nazywa Kościół, wspólnotę wierzących, ciałem mistycznym. We wspólnocie wszyscy wzajemnie do siebie należymy. Ta przynależność nie wypływa z więzów ciała i krwi, z poczucia wzajemnej sympatii, ale z Bożego powołania. Każdy z nas został osobiście powołany do konkretnej wspólnoty. To wezwanie jest podstawą naszego rozeznawania i angażowania się z innymi i dla innych.

Wspólnota jest miejscem, gdzie doświadczamy przebaczenia i jednocześnie jesteśmy wzywani do przebaczenia. Mimo całego szacunku i zaufania, jakie możemy mieć wzajemnie do siebie, zawsze pojawiają się słowa i zachowania, które zranią. Dlatego życie wspólnotowe zawiera w sobie pewien krzyż, nieustanny wysiłek i akceptację polegającą na codziennym wzajemnym przebaczeniu. Święty Paweł wzywa nas: *Jako więc wybrańcy Boży — święci i umiłowani — obleczcie się w serdeczne miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość, znosząc jedni drugich i wybacząc sobie*

nawzajem, jeśli miał ktoś zarzut przeciw drugiemu: jak Pan wybaczył wam, tak i wy (Kol 3, 12-13). Nieustannie musimy uczyć się bycia we wspólnocie i przyzywać Ducha Świętego, aby przeniknął całą naszą osobę i uzdolnił nas do miłości wzajemnej. *Nie jesteśmy panami naszych wrażliwości, poczucia sympatii czy antypatii, jakie pochodzą z głębi naszego bytu. Kontrolujemy je w mniejszym lub większym zakresie. Musimy ufać, że Duch Święty przyjdzie z przebaczeniem oraz oczyści i przytnie nieco pokręcone gałęzie naszej istoty. Naszą wrażliwość od wczesnego dzieciństwa formowały tysiące lęków i egoizmów, podobnie jak tworzyły ją gesty miłości i dar Boga. (...) Nie wyprostuje się jej w jeden dzień. Wymaga to tysięcy oczyszczeń i przebaczeń, codziennych wysiłków, a przede wszystkim daru Ducha Świętego, który wewnątrz nas odnawia.*

Zbyt wiele osób przychodzi do wspólnoty po to, żeby rozwiązać osobiste problemy, należeć do prężnej grupy, odpocząć od codzienności, poznać ciekawe towarzystwo. A kiedy wspólnota nie spełnia ich oczekiwań, pojawia się rozczarowanie. Jean Vanier pisze: *Coraz bardziej zaskakują mnie we wspólnocie ludzie niezadowoleni. Kiedy znajdują się*



w małych wspólnotach, chcieliby być w większych, gdzie człowiek ma słabsze oparcie, gdzie jest więcej zajęć wspólnotowych, gdzie się celebrowa piękniejszą i lepiej przygotowaną liturgię. Gdy natomiast są w dużych wspólnotach, marzą o tej idealnej, małej. Ci, którzy mają dużo zajęć, marzą o długich chwilach modlitwy; ci, którzy mają dużo czasu dla siebie, wydają się znudzeni i usilnie szukają jakiegokolwiek zajęcia, które nadałoby sens ich życiu. Czyż nie marzymy wszyscy o takiej idealnej, doskonałej wspólnotcie, gdzie żylibyśmy w zupełnym pokoju, doskonałej harmonii, znajdując równowagę pomiędzy życiem wewnętrznym i zewnętrznym, gdzie wszystko byłoby radością?

Trudno jest ludziom wytłumaczyć, że idealnie nie istnieje, że osobista równowaga i ta wymarzona harmonia przychodzą dopiero po długich latach walk i cierpień i że nawet wtedy przychodzą jako dotknięcie łaski i pokoju. Jeżeli szuka się zawsze swojej równowagi, powiedziałbym nawet — jeśli zbyt szuka się własnego pokoju, nigdy się tego nie osiągnie, bo pokój jest owocem miłości, a więc służby dla innych. Wielu członkom wspólnot, którzy szukają tego nieosiągalnego ideału, chciałbym powiedzieć: „Nie trzeba już tracić czasu na poszukiwanie doskonałej wspólnoty. Żyj dziś w pełni w swojej wspólnotcie. Przestań patrzeć na

wady, jakie posiada (całe szczęście, że je ma) drugi, przyjrzyj się raczej swoim własnym wadom i wiedz, że ci przebaczone, że możesz przebaczać innym i wejść dzisiaj w proces nawrócenia przez miłość”.

W trwaniu i służbie we wspólnotcie jest również potrzebna nasza zgoda, aby i nas otoczono opieką oraz aby inni nam pomagali, towarzyszyli duchowo, nauczali. Wymaga to czasami ogromnego wysiłku przełamania się, aby przyjąć od kogoś wyraz troski, na przykład w postaci napomnienia. Będąc we wspólnotcie, należy zgodzić się na wzajemną współzależność, na nawiązanie bliższych kontaktów, więzi. Jest to trudne i wymagające, gdyż zakłada ujawnienie własnych słabości. Łatwiej jest zachować wygodny dla nas styl życia i nie rezygnować ze swojej wolności. Jednak wówczas zatrzymuje się rozwój osobisty i duchowy i następuje zamknięcie się we własnych granicach, w swoich sprawach, we własnym wygodnictwie.

Aby wejść do wspólnoty i zakorzenić się w niej, trzeba porzucić w pewien sposób dotychczasowe środowisko, wartości, przyzwyczajenia. Wielu osobom to się nie udaje, gdyż nie chcą z niczym zrywać. Żyją kompromisem, ale w ten sposób pozostają w rzeczywistości nieokreśleni i sami. Niektóre osoby obawiają się, że wspólnota ograniczy ich wolność. To

prawda, że poślubiając jedną kobietę, rezygnuje się z miliona innych! Wolność jednak nie jest czymś abstrakcyjnym, ale rozwija się w określonym miejscu, czasie, wśród konkretnych ludzi. Potrzeba nam większej miłości do Jezusa: *Kto kocha ojca lub matkę, bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien* (Mt 10, 37). Powołanie do wspólnoty przez Boga jest często bardzo subtelnym doświadczeniem. Trzeba umieć je rozpoznać, a potem konsekwentnie wybierać te wartości, osoby, wydarzenia, które prowadzą nas do pozyskania nowej jakości życia w Duchu Świętym.

Rozważając o wspólnotcie, warto pamiętać, że jesteśmy wezwani przede wszystkim do współpracy z dobrem, które jest w nas, w drugim człowieku i które jest realizowane przez grupę. Po pierwsze, musimy być przekonani o dobru, które wnosimy do wspólnoty w postaci jakiegoś daru. Ważne jest, aby każdy z nas znał swój dar, posługiwał się nim i czuł się odpowiedzialny za jego wzrost. Wtedy budujemy siebie nawzajem. Święty Paweł kładzie nacisk na dary charyzmatyczne w dziele budowania wspólnoty, ale istnieje wiele innych darów związanych bezpośrednio z miłością bliźniego i służbą. Są to różne rodzaje posługiwania konieczne we wspólnotcie: poskramianie języka, pokora i łagodność, umiejętność słuchania, stała gotowość świadczenia pomocy w różnorodnych sprawach życiowych, znoszenie i podtrzymywanie braci, obdarowanie uśmiechem, modlitwą. Każdy posiada swój dar i powinien nasłuchiwać, jak Duch Święty wzywa go do służby nim. *Gdybyśmy byli dostatecznie przekonani o naszym własnym darze, nie zazdrościlibyśmy cudzego daru, który zawsze wydaje się piękniejszy.*

Wspólnota jest miejscem osobistego spotkania z Bogiem. Jeśli zachowamy wierność, będziemy troszczyć się o relację z Jezusem, staniemy się otwarci na natchnienia i prowadzenie Ducha Świętego, otwarci na służbę drugiemu, to przejdziemy przez wszystkie etapy zwycięsko i doświadczymy, *jak dobrze i miło, gdy bracia mieszkają razem (...), bo tam udziela Pan błogosławieństwa, życia na wieki* (Ps 133, 1.3b) Trwanie we wspólnotcie jest Bożym błogosławieństwem. W ten sposób Pan prowadzi nas do pełni uzdrowienia, wolności oraz pokoju i radości serca.

Cytaty za: Jean Vanier, Wspólnota miejscem radości i przebaczenia

Wspólnota modliła się za mnie



Półtora roku temu, po jednej z modlitw wstawienniczych osoba modląca się za mnie podała mi obraz, w którym coś mnie więziło i nie pozwalało iść dalej. Tymi więzami były jakieś relacje z przeszłości. Nie wiedziałam, co to mogłoby oznaczać, ale podziękowałam i wróciłam do domu. Słowa te powracały do mnie co jakiś czas. Nie zagłębiałam się w szczegóły, ale i nie zapomniałam o tym obrazie.

Minął rok – rok pełen zmian. Zakończyłam studia, rozpoczęłam pracę, zmieniłam miejsce zamieszkania i przygotowywałam się do kolejnej przeprowadzki. Dużo działało się również w życiu moich przyjaciół: jedni wyjeżdżali do innego miasta na dalsze studia, inni – z kraju, planowali założenie rodziny, zaręczyny. W natłoku tylu zmian dookoła zaczęły nachodzić mnie wątpliwości, czy aby jestem w dobrym miejscu. Czy dobrze wybrałam miasto, studia, wspólnotę? Zaczęłam porównywać swoje życie z życiem osób, które kiedyś były ważne, ale z którymi kontakt osłabł. Było to bardzo nieroztropne. Diabeł złapał mnie w pułapkę porównywania swojego życia do życia, którego tak naprawdę nie chciałam. Miałam pragnienia służby i ewangelizacji. Pragnęłam żyć na głębi, z Duchem Świętym, a porównywałam się do innych, którzy żyli w świecie. Każdą najdrobniejszą decyzję rozpatrywałam pod kątem: „czy im się to spodoba?”, „co oni by na to powiedzieli?”, „a co oni by zrobili na moim miejscu?”. Były to bardzo delikatne myśli, takie podszepty z



początku niezauważalne. Przyłapałam się na tym raz, gdy jechałam do pracy i mówiłam różaniec. Dostałam wtedy jasne światło od Pana, że muszę to zostawić i zacząć korzystać z tego, co mam, bo otrzymałam wiele dobra, które mnie prowadzi. Zobaczyłam nonsens tego porównywania się. Ale to nie był koniec. Walka trwała dalej. Nie miałam pokoju, jeśli chodziło o moje miejsce. Diabeł przychodził, niepokoił i zasmucał mnie myślami, że nie jestem tam, gdzie powinnam, że będąc tutaj, nie mam żadnej przyszłości i że Bóg nic już z tego dobrego nie wyprowadzi.

Niespodziewanie Pan przyszedł do mnie, gdy jechałam na weekend w rodzinne strony. W momencie wjazdu do miasta, nagle poczułam, jak ogarnia mnie miłość Boża. Z łatwością stawałam w obecności Pana. Nie miałam pojęcia, skąd to doświadczenie. Co więcej, bez niego nie zdawałam sobie sprawy z tego, że byłam w strapieniu. Potrzebowałam tego umocnienia na cały pobyt w domu. Powoli docierała do mnie jedna prawda – nie należę już do tego miejsca i nie chcę doń należeć. Chcę czegoś więcej. 15 sierpnia 2016 r. był dniem mojego powrotu z rodzinnych stron. Kiedy siedziałam w pociągu, wydarzyło się dla mnie coś niezwykłego. Nie wiadomo skąd, ponownie poczułam obecność Jezusa i Jego zalewającą miłość. Była to obecność, która dawała mi wyzwolenie. Czułam, że jestem wolna od mojego rodzinnego miasta i od tych wszystkich relacji, które mnie trzymały i że mogę iść tą drogą, której pragnę, czyli drogą życia w Duchu Świętym, bez względu na to, co inni powiedzą. W jednej chwili napełniła mnie radość i wdzięczność za wszystko, czym Pan mnie

obdarował, w tym za szczególny dar – wspólnotę. Wracając z przeświadczeniem, że jestem tam, gdzie chciałam być, że żyję życiem takim, jakiego pragnęłam i za tym pragnieniem mam podążać, że jestem młoda i wolna i wszystko przede mną. Moje serce napełniło się radością, wdzięcznością i nadzieją.

Gdy wróciłam i przyszedłam na spotkanie, jedna osoba zapytała mnie, jak mi minął weekend. Z pełnym entuzjazmem opowiedziałam o niezwykłej łasce, jakiej Pan mi udzielił. Na co osoba odrzekła: „Wiesz, modliliśmy się za ciebie”. Jedyne, co mogłam powiedzieć, to „dziękuję”. Bardzo mnie poruszył fakt troski, jaką miała o mnie wspólnota.

Okazało się, że obraz, który pojawił się na modlitwie półtora roku temu, był prawdziwy, choć kompletnie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Relacje, wydawałoby się dalekie, nadal miały wpływ na moje życie i decyzje. Diabeł wykorzystał to przywiązanie i w ten sposób powstrzymywał mnie od dalszego zakorzenienia się we wspólnocie, od głębszego zaangażowania i pozbawiał mnie radości z tego, co Pan mi przygotował tutaj. Zamiast cieszyć się dobrem terazniejszym, zamartwiałam się i surowo oceniałam otaczającą mnie rzeczywistość. Otrzymałam wolność przez wstawiennictwo właśnie mojej wspólnoty, za którą jestem Panu wdzięczna. Jest to miejsce mojego wzrostu i pogłębiania więzi z Panem w sposób dojrzały. Sama nie wiedziałabym, którędy iść. Wspólnota wspiera doświadczeniem i modlitwą. Dziękuję Ci, Panie, za tak wspaniały dar.

Gosia



Wspólnota jako dar otrzymany od Boga

cierpieć?”. Wspólnota przez cały ten czas wspierała mnie przez piękne, długie, pełne łez rozmowy. Dzięki modlitwie wspólnoty zrozumiałam, że Piotruś nie jest dla mnie ciężarem, trudem czy karą, lecz błogosławieństwem danym mi od Boga. W tych trudnych momentach czułam Boże prowadzenie. Piotruś, mając zaledwie 2700 gram, został już operowany na serduszek. To ogromna łaska! Lekarze z reguły nie podejmują się operacji pełnej korekty

Mam na imię Ania. Należę do wspólnoty „Posłanie”. Chciałam w tym świadectwie podzielić się, jak wielkim darem i łaską otrzymaną od Pana Boga jest wspólnota. Uczestnictwo w jej spotkaniach, na których mogę uwielbiać Pana, daje mi radość i ogromną siłę duchową potrzebną do życia na co dzień jako prawdziwy chrześcijanin. Wspólnota jest dla mnie ogromnym wsparciem zarówno duchowym, jak i ludzkim, zwłaszcza w trudnym dla mnie czasie. Jedną z ciężkich chwil był okres ciąży, która była zagrożona. Musiałam wtedy leżeć w łóżku. W czasie tak długiego czasu unieruchomienia (około 6 miesięcy) wspólnota modliła się za mnie, dzieciątko i całą rodzinę. Czułam modlitewne wsparcie, bym mogła leżeć, choć nie było to dla mnie łatwe, gdyż jestem kobietą bardzo aktywną. Oprócz modlitwy osoby ze wspólnoty wspierały ciepłym słowem, odwiedzały i bezinteresownie pomagały.

Drugim trudnym dla mnie momentem w życiu były narodziny synka, Piotrusia, obciążonego zespołem Downa. Na początku byłam po ludzku załamana: dziecko ciężko chore na serce, nie mające siły jeść z butelki (karmione przez 2 miesiące sondą), z małą wagą urodzeniową, ciągle wymiotujące, z niedoczynnością tarczycy, słabo słyszące. Dodatkowo przytłaczał mnie fakt długiego pobytu w szpitalu, w separacji od drugiego, dwuletniego synka. Taka perspektywa wywoływała u mnie bunt wobec Boga. Pojawiały się pytania: „Dlaczego mnie to spotkało?”, „Dlaczego dziecko jest takie chore?”, „Dlaczego tyle musi

serca u niemowlaka z tak niską wagą. Wierzę, że to siła modlitewna wspólnoty wyprosiła taki cud! Poza tym cały czas czułam Bożą opiekę w tych trudnych chwilach. Pan Bóg stawiał na naszej drodze ludzi, którzy nam pomagali, doradzali, którzy przeżyli podobne sytuacje. Duch Święty udzielał światła lekarzom co do diagnozy i prowadzenia leczenia. We wszystkim widoczne było Boże prowadzenie. Nawet rozłąka z drugim synkiem nie była odczuwalna. Przez miesiąc przebywał on u dziadków, dobrze znosząc rozłąkę. Jak tylko mogliśmy, odwiedzaliśmy go z mężem, spędzając z nim chociaż chwilę.

Dziś Piotruś je coraz więcej, rośnie i przybiera na wadze. To śliczne dziecko. Uśmiecha się, gdy trzyma się go za rączki. Jest dla mnie ogromną łaską otrzymaną od Pana. Bóg jest dobry i zawsze daje nam to, co najlepsze dla nas, choć nie zawsze się z tym zgadzamy. Wiem, że nieprzypadkowo obdarzył mnie tak wyjątkowym dzieckiem. Piotruś jest dla mnie jedną z dróg prowadzących do nieba. Myślę, że nauczy mnie jeszcze dużo cierpliwości, której tak często mi brakuje, miłości, wyrzeczenia się siebie, radości i wdzięczności za życie. Zdaję sobie sprawę z tego, że opieka nad Piotrusiem wymaga więcej czasu i trudu, ale wiem, że on da mi jeszcze więcej radości i miłości.

Nie jestem w stanie podziękować Tobie, Panie, za dar wspólnoty, ale oddaję Ci chwałę i cześć za tak wielką łaskę, jaką ona jest!

Ania

Otworzyłam się na świadcstwo uwielbienie



Jak żyć według Ducha?

Pytanie, jak żyć w Duchu Świętym, stanowiło fundament tegorocznych rekolekcji zorganizowanych przez wspólnotę „Posłanie”, które prowadził ksiądz Artur Szymczyk – dyrektor Toruńskiego Centrum Caritas i duszpasterz młodzieży diecezji toruńskiej. Wydarzenie miało miejsce na Wydziale Teologii UMK w dniach 14-16 października 2016 roku i zgromadziło blisko 300 osób, pragnących czegoś więcej. Wielu z nich to, jak się okazało, ludzie spoza kościelnych wspólnot i ruchów.

Brak doświadczenia i uciążliwych niekiedy schematów w połączeniu z dobrą atmosferą okazał się pomocny dla wszystkich. Zapewnił otwartość na głoszone słowo i zajęcia warsztatowe w małych grupach, które prowadzili animatorzy ze wspólnoty „Posłanie”. Poza bogactwem konferencji, czas szczerze wypełniała modlitwa osobista i wspólnotowa. Przełomową, jak zapewniają rekolektanci, była ta poprowadzona przez ks. Artura w intencji uwolnienia od wewnętrznych barier. Bóg odnowił w sercach uczestników doświadczenie duchowego dzieciństwa, tak często odbierane przez rozmaite troski i ataki złego ducha.

Jak dobrze jest móc wołać do naszego Boga: Abba, Tatusiu! (por. Rz 8,15) – mogliśmy się o tym przekonać, wyruszając w rekolekcyjną drogę. Przewodnikiem na niej był święty Paweł Apostoł. W swoich kolejnych konferencjach ks. Szymczyk pokazywał wewnętrzną przemianę Szawła, religijnego fanatyka żydowskiego, w Pawła – miłośnika Chrystusa. Przyglądając się potężnemu działaniu łaski Bożej w nim, sami chcieliśmy przejść od przyzwyczajonej tradycyjnej religijności

do żywego chrześcijaństwa, aby móc wykrzyknąć za św. Pawłem: *Dla mnie (...) żyć to Chrystus!* (Flp 1,21).

Świadcstwa osób ze wspólnoty „Posłanie” były ukazaniem mocy Bożej w konkretnie codziennego życia. Zwracały uwagę na praktykę modlitwy uwolnienia i dziękczynienia jako skutecznego antidotum na nasze problemy. Tak często, zamiast zwrócić się do Pana i podjąć walkę z niemocą i zniechęceniem, kultywujemy nasze stany emocjonalne. A w naszym życiu duchowym to nie one mają moc sprawczą, lecz decyzja wiary. Na jej podstawie ufamy Bogu, choćby zatrzęsała się ziemia (por. Ps 46, 3). Podobnie w życiu wspólnotowym nie tyle kierujemy się osobistymi sympatiami czy antypatiami, ile celem, jaki wyznacza nam Chrystus.

Proces formacji i oczyszczenia oznacza naszą zgodę na przycinanie własnych sądów i koncepcji. Dotyczy to także posługi charyzmatycznej, o której opowiadali liderzy i animatorzy „Posłania”, dlatego wzrastamy, terminując u boku osób bardziej doświadczonych, którym Bóg powierzył prowadzenie wspólnoty. Nie od razu prorokujemy czy modlimy się o uzdrowienie lub uwolnienie tłumów. Wierność cotygodniowym spotkaniom modlitewnym i drobnym posługom przygotowuje nas do rzeczy większych. Realizm tych pouczeń płynął z tego samego duchowego źródła, co fale łaski udzielające się uczestnikom rekolekcji. Jak zaznaczył na początku ks. Artur – ich sprawcą był Duch Święty.

Podczas rekolekcji z ks. Arturem usłyszałam świadcstwo jednej z animatorek. Mówiła w nim o prowadzeniu Boga w cierpieniu, a konkretnie w czasie, kiedy nasze modlitwy zdają się być niewysłuchane, pragnienia nie realizują się i ogólnie życie nie jest w naszej opinii takie, jakie byśmy chcieli, żeby było. Odnalazłam się w tym świadcstwie bardzo mocno, tak

jakby była mowa o mnie samej. Momentem, kiedy rozpoznałam czas, w jakim obecnie się znajduję, było przełomowe zdarzenie opisane we wspomnianym świadcstwie. Osoba ta otrzymała łaskę przemiany podczas zwyczajnej, niedzielnej mszy – była to wolność wobec przeżywanego sytuacji i pokój serca oraz akceptacja własnego życia. Zapragnęłam wtedy takiej łaski, ale wiedziałam też, że musi ona przyjść od Pana Boga i że kiedy to się stanie, nie będzie to moja zasługa. Muszę się tylko na tę łaskę otworzyć i czekać.

Łatwiej powiedzieć niż wykonać. Pomimo usłyszenia Dobrej Nowiny, pozostał we mnie strach przed wolą Bożą i cierpieniem, który był spowodowany fałszywym obrazem Boga. Podświadomie podważałam Jego dobroć, choć innych przekonywałam, że „Bóg Cię kocha, Bóg jest dobry”. Sposobem na ten lęk okazało się uwielbienie, do którego było sporo okazji w czasie rekolekcji, ale w którym nie czułam się do tej pory zbyt pewnie, zwłaszcza gdy trzeba było oddawać Bogu chwałę na głos. Bardzo pomocne okazały się tutaj warsztaty modlitwy uwielbieniowej, ponieważ mimo przynależności do wspólnoty, na spotkaniach bardzo rzadko w taką modlitwę się włączałam. Po części dlatego, że nie wiedziałam, jak to robić, po części dlatego, że miałam fałszywy obraz Boga. Warsztaty otworzyły mnie na taką formę modlitwy i wzbudziły we mnie pragnienie, aby częściej ją praktykować, aby się jej nauczyć.

Jak się okazało, uwielbienie zaczęło uzdrawiać mój obraz Boga i naprawiać naszą relację. Może to brzmi dziwnie – nauczyć się modlitwy, ale tak właśnie jest, potrzebowałam się do niej przekonać. Oczywiście nie było to łatwe. Od czasu rekolekcji Pan Bóg musiał mi o tym jeszcze kilka razy przypominać, ale już w krótkim czasie mogę powiedzieć, że modlitwa uwielbienia wzbudziła we mnie większą wdzięczność Bogu za to, co mam. Nauczyła też, że Słowo Boże to miecz w walce duchowej i że powinnam go jak najczęściej używać, a samej modlitwy należy się po prostu uczyć. Czekam teraz, aż Pan otworzy moje serce na uwielbienie we wspólnocie. Wiem, że On mnie nie popędza (choć przypomina), ale jest cierpliwy. Modlę się również o łaskę wolności. Jezus, ufam Tobie i chwalał Tobie!



foto. Tomasz Książczak

ks. Artur Szymczyk

Zbawienie jest za darmo

Konferencja wygłoszona 16 października 2016 r. w Toruniu podczas rekolekcji „Mając życie od Ducha, do Ducha się też stosujemy”

Fundamentalne wydarzenie

Wczoraj odkrywaliśmy, na czym polega fenomen doświadczenia Pana. Szaweł ma za sobą historię wychowania religijnego w żydowskiej rodzinie, świetnych studiów – jak na ówczesne czasy – u stóp Gamaliela, jest faryzeuszem. Najwidoczniej pełni w tym gronie jakąś szczególną rolę, skoro zostaje mu powierzona misja prześladowania nowej herezji, która rodzi się na łonie Izraela. Traktuje on chrześcijan i Chrystusa jako jakąś nową grupę religijną, chcącą dokonać wewnętrznego rozłamu w judaizmie, który przecież jest religią, daną przez Boga samego wraz z Prawem na górze Synaj około trzynastu wieków wcześniej. Jest gorliwy w tym, co robi, przekonany o słuszności swojej misji. Powiedzielibyśmy, że jest fundamentalistą do szpiku kości, legalnie czystym, zachowującym 613 przepisów Prawa. Ten Szaweł doznaje objawienia Jezusa Chrystusa i zostaje napełniony Duchem Świętym. Radykalnie zmienia się nie tylko jego postawa, bo to jest rzecz wtórna. Pierwotne musi być myślenie. Wiecie o tym doskonale, że żeby mogła nastąpić jakakolwiek zmiana w sercu człowieka, najpierw musi się przemienić jego myślenie. Problem najpierw jest zlokalizowany w głowie. Jeśli tylko chcemy odmienić coś zewnątrz, może to przynieść pewien efekt, ale będzie on krótkotrwały. To tak jak z dietą: wiemy doskonale, że jeśli nie zmieni się nasze myślenie, prędzej czy później i tak kilogramy wrócą ze zdwojoną mocą. To wewnątrz musi nastąpić przemiana, potem dopiero przyniesie ona owoc w naszej postawie. I Paweł doznaje tego doświadczenia wewnętrznego, objawienia, które przemienia radykalnie jego myślenie. Zmiana myślenia w języku duchowym nazywa się nawróceniem. W Kościele mamy jedno święto, które nawiązuje do nawrócenia – jest to właśnie święto Nawrócenia św. Pawła – ponieważ ono było fundamentalne nie tylko dla niego, ale także dla tych, którym zaczął głosić Ewangelię.

Dwa grzechy

Paweł rozumie, że Prawo to śmieci nie samo w sobie, tylko wobec poznania Chrystusa. On rozumie, że Tym, który go odkupił, jest Jezus, że otrzymał to

usprawiedliwienie za darmo i że jest wolny. Prawo go nie wiąże. Jedyne, co go łączy z Jezusem Chrystusem, to miłość. Zaczyna z mocą głosić taką Ewangelię. Nie przychodzi to z łatwością. Ten, który był prześladowcą Kościoła – to jest paradoks – staje się głosicielem Tego, którego prześladował. Paweł widzi największy grzech w fakcie, że człowiek sam chce siebie zbawić. To, co widzieli i co głosili faryzeusze, wyglądało następująco: wystarczy, że będziesz zachowywał Prawo i jak dobrze poćwiczysz, to osiągniesz życie wieczne. Tak wygląda pokusa samozbawienia. Ona także dziś może pojawić się w życiu człowieka, który nie jest w stanie sobie poradzić z jakimś powracającym grzechem. Po jakimś czasie dochodzi do wniosku, że skoro sakrament Pokuty nie przynosi efektu, jaki zamierzał, to on nie będzie się spowiadał. Zaczyna być kreatorem, reżyserem, scenarzystą swego życia. Nie otwiera się na łaskę, którą Pan z różnych stron daje. To jeden z przejawów pokusy samozbawienia, że sami sobie poradzimy. Tak jak w dzieciństwie, kiedy nieporadne dziecko próbuje zrobić coś zbyt skomplikowanego i mama

chce mu pomóc, a ono na to woła: „ja sam”. Właśnie tak funkcjonujemy. Ciągłe myślimy, że po tylu latach formacji i świadomego chrześcijańskiego życia musimy sobie sami z wszystkim poradzić. To jest pierwsze zafalszowanie. Paweł walczy z tym przekonaniem, z drugiej strony jednak przeżywa osobisty dramat: największym grzechem, który cały czas ma w swojej świadomości, jest fakt, że prześladował Kościół, co zarazem było prześladowaniem Jezusa. Pamiętacie tę scenę z 9. rozdziału *Dziejów Apostolskich*, kiedy Pan mu się objawił i powiedział: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladasz?”. Paweł zapytał: „Kim jesteś?” – bo nie znał Jezusa. A On odparł: „Ja jestem Jezus, którego ty prześladasz”. Nie prześladował Go fizycznie, ale prześladował Jego uczniów, *zwolenników tej drogi*, pierwszych chrześcijan. Jezus identyfikuje się ze swoim Kościołem. To jest światło, którego świat nie chce przyjąć. Tu nie chodzi o księży, biskupów. Świat prześladowuje Kościół, a w ten sposób – Chrystusa. I nie chce przyjąć tej prawdy. Paweł miał świadomość tego, co robił i cały czas w swoich listach wracał do tego doświadczenia. Pisał: *Słyszeliście przecież o moim postępowaniu, jak z niezwykłą gorliwością zwalczałem Kościół Boży i usiłowałem go zniszczyć* (Ga 1,13).

Prześladowanie od braci

Głosząc Ewangelię, ma cały czas świadomość tego, co się dokonało i wie, że największą ranę Kościołowi często zadają nie tyle zewnętrzni wrogowie, ale rodzi się ona na jego łonie. Bo kto jest tak naprawdę Kościołem? My wszyscy. Jeżeli brat staje przeciwko bratu, jeśli siostra staje przeciwko matce, jeśli ojciec staje przeciwko dzieciom, jeśli wspólnota staje przeciwko wspólnocie, jeśli jeden ruch w Kościele staje przeciwko drugiemu, to jest największa rana, jaką można wyrządzić Kościołowi. Jest to znak, o którym Paweł pisze do swoich uczniów, którzy ciągle są w rozłamie, bo twierdzą, że jeden jest Pawła, a drugi Apollosa, a trzeci Kefasa. Tłumaczy im, że ci apostołowie nic nie znaczą, jedynie Chrystus daje wzrost. Paweł widzi tę ranę wewnątrz i na zewnątrz Kościoła. Co więcej, sam jest prześladowany przez braci. Jeśli przeczytacie *Dzieje Apostolskie* i *Listy Pawłowe*, zobaczycie, że Paweł jest prześladowany przez tych, którzy byli jego przyjaciółmi, z którymi wzrastał, dojrzewał, dzielił czas, spędzał godziny na wspólnych rozmowach o Bogu, o przyjaźni, o sprawach codziennych. Żydzi mają go za zdrajcę. Paweł, jak zanotował to św. Klemens, siedem razy był w więzieniu za sprawą swoich braci – w Jerozolimie, Cezarei Nadmorskiej, Rzymie, Efezie i Koryncie. W *Liście do Koryntian* pisał: *Przez Żydów pięciokrotnie byłem bity po czterdzieści razy bez jednego. Trzy razy byłem sieczony różgami, raz kamienowany, trzykrotnie byłem rozbitkiem na morzu,*



przez dzień i noc przebywałem na głębinie morskiej. Często w podróżach, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od zbójców, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustkowiu, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach od fałszywych braci (2 Kor 11,24-26). Paweł jest prześladowany przez swoich braci. Dziwić się temu? Jeśli idziesz drogą Ewangelii, to jest to droga naszego Mistrza. Przez kogo Jezus był pierwszy oskarżony? Przecież nie przez Rzymian, którzy byli nawet niezainteresowani tym sporem. Piłat miał pretensje, że przyprowadzono do niego Jezusa, bo go te religijne tematy nie zajmowały. Bracia Go przywiedli. Paweł też został uwięziony przez braci. Jeśli idziesz drogą Ewangelii i spodziewasz się, że nie spotkają cię prześladowania ze strony najbliższych, to jesteś w głębokim błędzie. Bo jeśli tak jest, to znaczy, że z twoją wiarą jest coś nie tak. Żydzi naukę Pawła o Krzyżu Jezusa Chrystusa nazywają skandalem, zgorszeniem, każą mu milczeć. Dlaczego? Bo jak powieszony ma być Bogiem? Kiedy Paweł chodzi po świątyni ateńskiej – tam gromadziła się cała czołówka myślicieli greckich: filozofów, polityków, którzy mieli bardzo dużo do powiedzenia – widzi jakiś ołtarz poświęcony nieznanemu Bogu i zaczyna głosić Jezusa Chrystusa. Grecy to, co słyszą, nazywają głupstwem i mówią mu: „Posłuchamy cię innym razem”. Paweł ponosi osobistą porażkę. Dlaczego? Głosi Jezusa Chrystusa, który jest wcielonym Słowem Bożym. Dla ówczesnych Greków to, że Syn Boży stał się Człowiekiem, było nie do przyjęcia. Wolność – tak uczył Platon – polegała na tym, że człowiek się wyzwala ze swojego ciała, bo to ono go ogranicza. Cóż to więc za Bóg, który się wciela? On ma nas wyzwolić z tego ciała, a nie je przyjąć. Zobaczcie, ile zostało w naszym myśleniu chrześcijańskim myśli postplatońskich, ile było w duchowości ascetycznej takiego myślenia. Kiedy Grecy słuchają Pawła, oczekują, że ktoś ich wyzwoli z ciała, a on mówi, że przyszedł Syn Boży i stał się Człowiekiem. Jak Bóg może aż tak zniżyć się do człowieka? Żydzi myśleli tak samo – to jest absurd. Nie znajdziecie w żadnej religii świata takiego doświadczenia, żeby Bóg był tak blisko stworzenia. Bogowie są zawsze gdzieś daleko, obcy, trzeba ich przekonać do siebie, a Jezus przychodzi, żeby nas zbliżyć do Boga.

Paweł jest prześladowany nie tylko przez Żydów, ale i chrześcijan. Kiedy przybył do Jerozolimy, próbował przyłączyć się do uczniów, lecz wszyscy bali się go, nie wierząc, że jest uczniem (Dz 9,26). Słyszają, czego dokonywał, co robił, jak działał, a teraz nagle głosi Jezusa Chrystusa. Wszyscy myślą, że to jakiś podstęp, że on chce to środowisko przeniknąć i doprowadzić do aresztowań, nie ufają mu. Paweł nosi

w sobie doświadczenie samotności. Wiesz, co to jest poczucie osamotnienia w wierze? Dla nich – dla braci – nie jest apostołem. Napisali nawet o nim list, że to jest fałszywy nauczyciel. Jego największym cierpieniem było to, że nie został zaakceptowany przez rodzający się Kościół. Myślę, że ci, którzy trwają świadomie w Kościele od długiego czasu, wiedzą, co to jest za sytuacja. Nieprzyjęty przez swojego proboszcza, przez tych, którzy w Kościele podejmują decyzje, zawsze podejrzany. Bo co oni tam na tych rekolekcjach będą robić? Podnosić ręce? To same emocje. Spotykamy się z patrzaniem na nas z nutą podejrzliwości, jak na wariatów. To jest doświadczenie Pawła, bo on też był podejrzewany. Czy doświadczyłeś takiego prześladowania od braci w Kościele?

Oścień

Paweł jest też prześladowany na innym poziomie: duchowym. Toczy wewnętrzną walkę. Pisał tak: *Aby zaś nie wynosił mnie zbyt wielko objawień, dany mi został oścień dla ciała, wysłannik szatana, aby mnie policzkował – żebym się nie unosił pychą. Dlatego trzykrotnie prosiłem Pana, aby odszedł ode mnie, lecz [Pan] mi powiedział: „Wystarczy ci mojej łaski”* (2 Kor 12,7-9a). Paweł nosi w swoim sercu jakąś ranę. Egzegeci próbowali ją za wszelką cenę zidentyfikować. Podawano różnego rodzaju odpowiedzi. Z jednej strony, że może to chodziło o charakter Pawła, bo był bardzo porywczy. W jednym liście do Koryntian pisał ostro, rugając swoich braci, a w drugim już złagodniał. Może miał chwiejność nastrojów, czyli to, co ma 95% z nas. Inni sugerowali, że miał jakąś nieuleżoną neurotyczną relację z kobietą albo problemy z własną seksualnością. Ale to wszystko są tylko domniemania, które mogą nie mieć żadnego uzasadnienia. Przeżywał jednak problem, który go upokarzał. Miał przekonanie, że nosi w sobie jakiś dramat, którego Pan mu nie zabrał. To doświadczenie było dla niego przykre, chciał się go pozbyć, uwolnić. Może w historii swojego życia też masz coś takiego, co cię ściąga z drogi, co zabiera ci energię i wprowadza w duchową apatię, co powoduje twoje depresje, niskie poczucie własnej wartości, nieustanne użalanie się nad sobą? Kiedy o tym mówisz, budzi to twój wstyd, bo odsłaniaś jakąś nagość swojego serca, którą wolałabyś ukryć. Może to jest twoja choroba, labilność emocjonalna, może większa tendencja do określonego grzechu? Jesteś już 17. raz na rekolekcjach o uzdrowieniu i 154 na mszach o uzdrowienie i... nie puściło. I ciągle żyjesz dramatem: Boże, kiedy to się skończy? Paweł też przeżywał taki dramat. Ale powiedział: trzy razy prosiłem Pana, do trzech razy sztuka. Zrozumiał, że to wewnętrzne prześladowanie, ta jego duchowa walka jest po to, żeby się nie unosił pychą. Ty też możesz mieć takie

doświadczenie problemu. Nazwij go przed Panem, bo dzisiaj będziemy prosili, aby go dotknął. Może ci go odbierze, ale może powie ci tak jak Pawłowi: „Wystarczy ci Mojej łaski, poradzisz sobie, przejdiesz przez życie i nie zabije cię to, choć demon właśnie tego miejsca będzie dotykał w twoim sercu najbardziej, żeby cię ściągnąć z drogi do Mnie”. Każdy z nas ma w swoim sercu tak zwaną sferę ranliwą. Jest ona najbardziej zagrożona atakiem złego, bo on zawsze tam uderza i okazuje się skuteczny. U kobiet może to być jakieś doświadczenie emocjonalne, u mężczyzn – seksualność. A Pan mówi: wystarczy ci Mojej łaski. To normalny przejaw życia duchowego, że przeżywasz pokusy, zmagania, udręczenia, że po rekolekcjach wyjdiesz za te drzwi i już do ciebie ktoś zadzwoni i powie: „Co za głupoty wam tam naopowiadali? Widziałem filmiki na Facebooku, was już całkiem pokreśliło. Taka stara, a taka głupia”. Nie chcę was łudzić, że wyfruniemy stąd i będziemy szybować nad Toruniem, a niektórzy dalej. Demon będzie chciał ci wyrwać tę wolność, którą otrzymałeś od Chrystusa, który powiedział, że nic nie musisz, bo jesteś Jego dzieckiem. Przyjdzie i

będzie cię dręczył: „Jakim dzieckiem? Zapomniałeś? Popatrz, jaki masz ciężki żywot, a tamci sobie robią, co chcą i są uśmiechnięci. Popatrz na reklamy, a ty tutaj się modlisz, zmagasz, pokusy cię niszczą, a świat sobie żyje”. Tymczasem do każdego z nas Pan mówi: „Nie musisz się lękać, nawet swojej depresji, słabości, nawet jeśli cię grzech pokona, dlatego że Ja jestem źródłem życia”. Demon ci będzie wmawiał, że Pan Bóg się zmęczył. Ile przecież może ci przebaczać? To jest moje doświadczenie jako spowiednika. Spowiadam kogoś regularnie i czasem ktoś ginie, nie przychodzi do spowiedzi, potem wraca po trzech miesiącach. Pamiętam pewnego chłopaka, który przyszedł do spowiedzi. Na koniec pytam go: „Słuchaj, ty nie jesteś z tej parafii?” „Nie, jestem z drugiego końca miasta”. Robił rundkę po wszystkich kościołach, po trzech miesiącach wracał do swojej parafii, żeby stworzyć wrażenie, że grzech, z którym się zмага, zdarza mu się raz na trzy miesiące. Pan nam chce nieustannie przebaczać. Tymczasem demon mówi: „Bóg jest niecierpliw. Twój kierownik duchowy jest rozczarowany, bo zainwestował w ciebie trzy lata i nie widać efektów”. Chrystus mówi: *Przyjdźcie*

do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię (Mt 11,28). Bez limitu.

Życ – to Chrystus

Nie ludźmy się, że zostaniemy z tej próby zwolnieni, bo jeśli idziemy drogą Pawła, to musimy mieć to samo doświadczenie – także prześladowanie. On odkrywa, że to ma sens. Swoje listy i najpiękniejsze zdania Paweł formułuje, siedząc w więzieniu. Píše wówczas list do gminy w Filipi. Ma świadomość zbliżającego się kresu, bo wkrótce rozpocznie się proces, potem zostanie skazany na śmierć i ścięty mieczem. Czyni nawet swoisty rozrachunek ze swojego życia, stawia pytanie, które ludzie zadają sobie w momentach zwrotnych: czy warto było zostawić to wszystko, co miałem, pozycję, przyjaciół, perspektywę – był przecież obywatelem Rzymu – możliwość zrobienia wielkiej kariery, a zyskać prześladowanie, tułaczy los, odrzucenie przez braci, rodzinę, nieufność chrześcijan? Czy warto było pozostawić swoje dotychczasowe życie i pójść za Chrystusem? I odpowiada: *Dla mnie żyć – to Chrystus, a umrzeć – to zysk* (Flp 1,21). Papież Benedykt napisał: *Chrystus nie jest już tylko jego życiem, ale że dla niego żyć znaczy Chrystus, i to tak dalece, że śmierć oznacza zysk, jeśli pozwala się z Nim złączyć. Nie gardził życiem, ale pojął, że jego życie nie miało żadnego innego celu, i dlatego nie pragnął niczego innego, niż tylko dobiec do Chrystusa, jak na zawodach sportowych, by pozostać z Nim na zawsze* (Benedykt XVI, Audienca generalna

19 listopada 2008 r.). Gdy Paweł został zdobyty przez Chrystusa i napełniony Duchem Świętym, odkrył też misję swojego życia. Stała się dla niego czytelna: *Lecz ja zgola nie cenię sobie życia, bylebym tylko dokończył biegu i posługiwania, które otrzymałem od Pana Jezusa: [bylebym] dał świadectwo o Ewangelii łaski Bożej* (Dz 20,24). Jego pragnieniem jest głosić Ewangelię łaski. Dlaczego? Bo zbawienie jest za darmo. Tam nie ma gwiazdek jak w umowach kredytowych, że trzeba wziąć lupę i doczytać to, co jest małym drukiem, że nie zapłacisz tak, jak ci mówili – 10%, tylko 59% dodatkowo. Ewangelia łaski oznacza, że zbawienie jest darmowe, Chrystus wysłużył je na Krzyżu, jesteśmy zbawieni i usprawiedliwieni przez Niego. On daje nam też Swego Ducha. Paweł dodaje: *Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii* (1 Kor 9,16b). Czy już masz taką misję życia? Nie mówię ci, że będzie łatwo, a kto tak obiecywał, kłamał. Pan mówi jednak dzisiaj: *Wystarczy ci mojej łaski*. Czasami jesteśmy bombardowani ciągłymi zagrożeniami. To jest też oszustwo demona. Jeśli ktoś żyje w Duchu Świętym, ma świadomość tego, że na świecie istnieje mnóstwo jego manipulacji. Wiele młodzieży nie pojechało na ŚDM, bo w domach mówiono, że będzie zamach. Rodzice się bali. Tu wojna, tam atak, wszędzie zbrodnia albo krew. Oczywiście, nie mówię, że te rzeczy się nie dzieją, ale kiedy bombarduje się widza tylko i wyłącznie takimi treściami, ma on wrażenie, że triumfuje zło, że świat jest w ręku demona, a my, garstka chrześcijan, nic nie możemy zrobić. Schowajmy się lepiej do schronów i

przeczekajmy to wszystko. Nie głosmy Ewangelii, aż to minie, tak będzie lepiej. Szatan odnosi sukces, gdy doprowadzi do wycofania i stworzenia przekonania, że ma władzę. A on nic nie może. To Jezus jest Panem. Do Boga zawsze należy ostatnie słowo.

Nie zasmucać Ducha Świętego

Papież Franciszek w domu św. Marty podczas homilii 4 października tego roku, komentując fragment *Listu do Galatów*, wypowiedział takie zdanie: *Przywiązanie do Prawa sprawia, że ignoruje się Ducha Świętego. Nie pozwala ono, by moc Chrystusowego odkupienia przyszła wraz z Duchem Świętym. Ignoruje. Liczy się tylko Prawo. (...) [Zasmucanie] Ducha Świętego ma miejsce wtedy, gdy nie pozwalamy Mu, by nas inspirował i prowadził w życiu chrześcijańskim, a przez to wskazywał, co mamy czynić. Stajemy się zatem oziębli i popadamy w chrześcijaństwo przeciętne, bo Duch Święty nie może w nas uczynić swego wielkiego dzieła*. Biada wspólnotom i nam osobiście, jeśli nasze chrześcijaństwo i zaangażowanie jest przeciętne, bo zasmucamy Ducha Bożego. Bóg nie może dokonać wielkich dzieł w sercu, choćby chciał, bo metoda „ja leżę, a ty mnie zbaw”, nie działa. Papież stawia pytanie do mnie i do ciebie: *Czy moje życie jest nieustanną modlitwą, aby otworzyć się na Ducha Świętego, aby On mnie prowadził naprzód z radością Ewangelii i dał mi zrozumieć doktrynę Jezusa, prawdziwą naukę, nie taką, która oczarowuje, która czyni nas nierozumnymi,*

ale taką, która jest prawdziwa? Kiedy Paweł napisał *List do Galatów*, bo pojawili się tam nauczyciele z Jerozolimy, którzy chcieli wykazać, że on opowiada bzdury, stwierdził: *Gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiliśmy – niech będzie przeklęty!* (Ga 1,8). Paweł, w przeciwieństwie do wszystkich innych Apostołów, nie znał Jezusa Chrystusa, a jak się okazuje, napisał więcej listów niż oni. Kiedy zaczynał, szedł z wewnętrznym przekonaniem otrzymanego objawienia. W *Listie do Galatów* jest opisana scena, kiedy koryguje Piotra, który w pewnym momencie – wiedząc, że niektórzy z nawróconych są Żydami, a niektórzy poganami – wobec Żydów zachowywał Prawo, ale gdy przebywał z poganami, naśladował ich zwyczaje. Paweł gani go, że nie może tak postępować. Krytykuje Kefasa, skałę, tego, któremu Jezus dał klucze do królestwa niebieskiego. Dlaczego może tak powiedzieć? Bo ma przekonanie, że światło, które otrzymał, jest prawdziwe i że stoi za nim Chrystus. Widzicie tę siłę? To jest Ewangelia łaski, którą głosił Chrystus i nie bójmy się prześladowań, zobaczymy w nich sens drogi Pana, naszego Mistrza. Nie szukajmy ich na siłę, same nas znajdą. To żadna przyjemność. Ale kiedy przyjdą momenty twojej duchowej walki, jeśli kosztuje cię, by być wiernym Ewangelii, by zachować małżeństwo, czystość serca i musisz nie wiadomo jak się zmagać, to znaczy, że jesteś cenny dla Pana, a jesteś pierwszym wrogiem demona, bo on się byle kim nie zajmuje. Nasze życie jest nieustanną modlitwą, aby otworzyć się na Ducha Świętego i pozwolić Mu działać.

Tekst został autoryzowany.



świadecko Jezus zanurzył mnie w Swoich ranach

świadecko Lekarz był zaskoczony

W swoim życiu doświadczyłam wielu cudów, uzdrowień, otrzymałam morze łask. Nie wszystko jest widoczne dla mnie od razu, czasami muszę obejrzeć się wstecz, aby puzzle wydarzeń w moim życiu odsłoniły działanie Boga. Dopiero co zakończone rekolekcje z ks. Arturem Szymczykiem zachęciły mnie do złożenia świadectwa o uzdrowieniu, jakie dał mi Jezus rok temu.

Na początku grudnia 2015 roku wspólnota „Posłanie” wraz z księdzem Arturem Szymczykiem zorganizowała rekolekcje „Krwia Jego ran zostaliście uzdrowieni (1 P 2,24)”. Kiedy tylko się dowiedziałam o tych rekolekcjach, wówczas pojawiło się w moim sercu przeświadczenie, że mam na nich być. Sama jednak byłam przekonana, że Bóg przecież już uzdrowił tyle ran w moim sercu, że te rekolekcje nie wniosą nic specjalnie nowego. Od 2012 roku uczestniczyłam w wielu mszach z modlitwą o uzdrowienie oraz w kilku rekolekcjach charyzmatycznych – czułam się pewnie. Kilka dni przed tym wydarzeniem zostałam jednak zaatakowana przez ogromną ilość różnych myśli. Nagle przeróżne sceny, trudne sytuacje z dzieciństwa oraz z całego życia stawały mi przed oczami. Zaczęłam czuć się osamotniona i na każdym kroku odrzucona. Trwałam w modlitwie, ale nękanie nie ustawało. W pierwszy dzień rekolekcji miałam ogromną niechęć do uczestnictwa w nich oraz do otoczenia. Siłą woli i mocą Ducha Świętego znosiłam towarzystwo innych ludzi wokół siebie – tak bardzo byłam rozdrażniona. Gdzieś w tej zawierusze docierało do mnie, że Bóg

pragnie, abym opierała się na Nim, a nie na akceptacji otoczenia. Pierwszy raz padło określenie „żebraczka miłości” – miało to miejsce w czasie rozmowy z kapłanem. Po piątkowej modlitwie czułam się lepiej, podniesiona na duchu wracałam do domu. W sobotę już bardziej skupiałam się na konferencjach, które do mnie przemawiały. Ksiądz Artur poruszał tematy, które dotykały mnie bardzo osobiście. Nagle w ciągu tego dnia poczułam wewnętrzny duchowy ból, którego nie da się opisać. Utrzymał się cały czas, wzmagając się na sile pod koniec dnia. Na kazaniu w czasie mszy już szlochałam. Czułam się jak małe dziecko. Nadszedł czas adoracji i modlitwy wstawienniczej. Ksiądz Artur wypowiadał po kolei modlitwę o uzdrowienie i każdy poruszany przez niego wątek dotykał mnie i moich doświadczeń. Każde kolejne słowo odbierałam jak kolejną szpilę. Mój ból wewnętrzny tak się wzmógł, że nie mogłam tego znieść. Chciałam uciec jak najdalej z tamtego miejsca, czułam się najbardziej zraniona i najbardziej samotna na świecie. To, co szatan mi kładł wtedy do głowy, nie nadaje się do powtórzenia, ale wykorzystywał najmniejsze zranienie w moim życiu. Nie było ich mało. Myślę, że gdybym nie była członkiem wspólnoty „Posłanie”, to bym wtedy uciekła. Zostałam tylko dzięki temu, że gdzieś na dnie duszy miałam zakodowaną naukę wyniesioną już ze wspólnoty. I przez tę zasłonę cierpienia przedarła się do mnie jedna myśl: Jezus w Ogrójcu był stokroć bardziej samotny i opuszczony. Jakaś siła poza mną

podniosła mnie i skierowała do grupy modlitwy wstawienniczej. Kiedy stanęłam twarzą w twarz przed Najświętszym Sakramentem, Bóg dał mi taki obraz: przede mną otworzyła się czeluść bez dna i bez brzegów. Ogromna jama – to był symbol moich ran oraz ich bezmiar. Zrozumiałam od razu, co to jest i mimo bólu, jaki wtedy odczuwałam, powiedziałam: „Jezu – to są moje rany, moje cierpienie, sama sobie z tym nie poradzę. Proszę Cię – zalej ten dół swoją miłością, bo tylko Ty to potrafisz naprawić i uzdrowić”. Po tym wyznaniu oddałam się Bogu i trwała nade mną modlitwa wstawiennicza. I znów Pan dał mi obraz, w którym Jezus prowadzi mnie za rękę, przeprowadzając po zgliszczach jakby spalonego miasta na polaną pełną słońca i zieleni. Po tej modlitwie wstałam jako nowy człowiek. Już nie czułam bólu. Mogłam wziąć różaniec i modlić się za wspólnotę oraz kapłanów, którzy posługiwali modlitwą wstawienniczą.

Po tych rekolekcjach każde następne potwierdzały tylko to uzdrowienie, które się we mnie dokonało. Już nie dotykają mnie słowa, te same słowa, które wtedy rozrywały moją duszę. Mam wolność w sobie i miłość do tych, którzy kiedyś ten ból mi zadali. Jezus zanurzył mnie tamtego dnia w Swoich ranach i obmył mnie Swoją Krwią. Mocą Jego ran zostałam uzdrowiona.

Iłona

W czerwcu bieżącego roku zaprosiłam na mszę z modlitwą o uzdrowienie u oo. franciszkanów moją mamę i ciocię. Ciocia była w trudnej sytuacji, ponieważ w niedługim czasie czekał ją zabieg udroźniania tętnic szyjnych. Jakies pół roku wcześniej, po przeprowadzonych badaniach stwierdzono, że tętnice są w znacznym stopniu niedrożne, co wiąże się z dużym ryzykiem udaru. Lekarz prowadzący skierował ją na zabieg z dopiskiem „pilne”. Ciocia bardzo bała się tej operacji, bo była już po kilku zawałach serca oraz po operacji bypasów, co znacznie zwiększało ryzyko związane z kolejnym zabiegiem. Przed ustaleniem terminu ciocia miała zrobić jeszcze badanie przy użyciu tomografu komputerowego, na które trzeba było czekać kilka miesięcy. W czerwcu br. uczestniczyła w modlitwie o uzdrowienie na rekolekcjach charyzmatycznych z ks. Bashoborą, potem w pielgrzymce do Sanktuarium w Oborach, a 30 dnia tego miesiąca przyszyliśmy na mszę, którą odprawiał o. Błażej Sekula. W kościele było dość duszno, a nabożeństwo przedłużało się, więc ciocia trochę źle się poczuła, ale trwała na modlitwie. W pewnym momencie zostało wypowiedziane słowo poznania, że jest w kościele osoba, która modli się za swoją ciocię. Przez chwilę pomyślałam, że to może chodzi o mnie, ale szybko o tym zapomniałam. Na koniec modlitwy o uzdrowienie poszliśmy jeszcze po indywidualne błogosławieństwo do ks. Artura, który stał najbliżej nas. Podczas tej modlitwy ciocia doświadczyła spoczynku w Duchu Świętym. Kiedy się ocknęła, jeszcze przez jakiś czas dochodziła do siebie, nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Będąc jeszcze w tym stanie lekkiego oszołomienia, powiedziała: „Może nie będzie potrzebna operacja”. Nikt z nas chyba wtedy nie wierzył w te słowa, kiedy jednak poddała się badaniu przygotowującemu do zabiegu, okazało się, że tak bardzo jego wyniki różnią się od tych sprzed pół roku, że wywołały duże zdziwienie osoby, która je wykonywała. Z tymi badaniami ciocia udała się do lekarza, który miał przeprowadzić zabieg, aby umówić się na jego termin. Kiedy zobaczył wyniki badania, był ogromnie zaskoczony. Powiedział, że są one na tyle dobre, że nie jest już potrzebne udrażnianie tętnic szyjnych. Widząc niezwykłość całej tej sytuacji, dodał jeszcze: „Proszę pani, jest Rok Miłosierdzia, musi pani teraz zrobić coś dobrego dla innego człowieka”. Dziękujemy Ci, Panie, za to uzdrowienie. Chwała Panu!

Ewa

WSZYSTKO MI WOLNO



Wszystko mi wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść. Wszystko mi wolno, ale ja niczemu nie oddam się w niewolę (1 Kor 6,12).

W naszych czasach propaguje się wolność jako hołdowanie swojemu ciału, własnym zachciankom i namiętnościom. Tylko czy faktycznie, idąc tą drogą, człowiek czuje się szczęśliwy, spełniony? Św. Paweł w tych prostych słowach uczy nas podstaw rozeznawania. Rzeczywiście, wszystko nam wolno, ale po co robić rzeczy, które w konsekwencji ograniczą nas, zahamują wewnętrzny rozwój, przysporzą cierpień nam i naszym bliskim?

Niczemu nie oddam się w niewolę

W otaczającym świecie mamy mnóstwo przykładów destrukcyjnej siły zniewoleń, że aż trudno zrozumieć, dlaczego tak wielu daje się uwikłać w alkoholizm, narkotyki, hazard, gry komputerowe, pornografię czy uzależniające relacje. Jedni podążają za modą,

ulegają wpływowi środowiska, inni szukają ucieczki od problemów egzystencjalnych, od poczucia pustki i samotności. Dopóki człowiek taki żyje w złudnym poczuciu zadowolenia, nie dokonuje refleksji nad sobą i nie podejmuje próby zmiany stanu, w którym się znalazł. Dopiero z czasem, gdy pojawiają się choroby, zerwane więzi międzyludzkie, spustoszenie w sprawach zawodowych, przychodzi konfrontacja własnych przekonań i wyobrażeń z rzeczywistością. A wychodzenie z jakichkolwiek uzależnień jest procesem bolesnym, długofalowym i nie zawsze zwieńczonym sukcesem.

Nie wszystko przynosi korzyść

Każdy z nas powinien czuwać i badać, czy dana rzecz przyniesie rzeczywistą korzyść. Na płaszczyźnie duchowej podstawowym kryterium jest zgodność z wolą Bożą, bowiem tylko jej pełnienie daje możliwość wzrastania. Powinniśmy zatem rozeznawać, czy nasz wybór przybliży nas do tego celu, czy też

oddala. Sami nie potrafimy przewidzieć odległych konsekwencji naszych decyzji i czynów, tylko Bóg je zna. Potrzebujemy zaufania wobec Jego prowadzenia i zdania się na Jego wolę. Zawsze mamy wybór, ale czy przyniesie on nam korzyść w wymiarze doczesnym i wiecznym? W praktyce grozi nam przypisywanie Bogu własnych intencji oraz szukanie Jego akceptacji dla naszych planów i pomysłów. Takie ryzyko istnieje przy wyborze powołania, kiedy, idąc za ciałem, mamy z góry ustalony plan i obawiamy się, że Bóg może go nam zakwestionować. Wtedy kierujemy się bardziej uczuciami, projektujemy swoje pragnienia, niż w otwartości serca pytamy się, jakie On ma zamiary względem nas. Podobnie na dalszych etapach realizacji powołania często wyprzedzamy Boga, zamiast cierpliwie szukać Jego woli.

Duch posłuszeństwa

Osoby trafiające do wspólnot, będące na początku drogi często ulegają złudzeniu, że od razu mogą

podejmować się wszelkich zadań, nie potrzebując niczyjej rady. Czasem nawet buntują się, jeśli nie spotkają się z akceptacją dla swoich propozycji, które uważają za słuszne. Na ile jest w tym woli Bożej, a na ile własnych pragnień, weryfikuje się w czasie posługiwania. Odpowiedzialność za wspólnotę sprawia, że priorytetem w rozeznawaniu jest zachowanie jej jedności dla kontynuacji całości dzieła. Dlatego nie od razu osoby początkujące są dopuszczane do odpowiedzialnych zadań. Nie będąc odpowiednio uformowane, nie poddadzą się bowiem jednomyślnej współpracy i często będą wybijać się przed szereg, idąc za naturą, która dąży do tego, by się pokazać. Czas podejmowania określonych zadań jest też związany z odpowiednim przygotowaniem narzędzia, które musi przejść proces oczyszczenia. Nie wystarczy samo nawrócenie, choćby najbardziej spektakularne. W związku z dawniejszym życiem, uwikłanym w ten świat, potrzebne jest zwykle uzdrowienie wewnętrzne, a często też uwolnienie. Bez tego przygotowania możemy wydawać zielone, cierpkie owoce, zamiast dojrzałych i słodkich. Wybór należy do każdego: czy pójdzie za swoją wolą czy podda się prowadzeniu we wspólnocie w duchu posłuszeństwa.

Wierność nauczaniu Kościoła

Współcześnie, gdy wielu ulega lansowanemu w świecie relatywizmowi moralnemu, potrzeba nam przyłgnięcia całym sercem do nauczania Kościoła i jego wymagań. Zagubienie bowiem grozi nie tylko wystawiającym się na różnorakie pokusy, ale także osobom uważającym się za wierzące, czy nawet angażujące się w nim. Coraz częściej można zaobserwować pewną niekonsekwencję czy wręcz rozdarcie w osobach ulegających, z jednej strony, ideologicznej propagandzie, wszechobecnej w mediach głównego nurtu, a z drugiej – próbujące funkcjonować w strukturach Kościoła bez poddania się jego nauczaniu w kwestiach moralnych i społecznych. Tymczasem antidotum przynoszą słowa Jezusa: *Jeżeli będziecie trwać w nauce mojej, będziecie prawdziwie moimi uczniami i poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli (J 8,31-32)*. Kościół od początku przechowuje depozyt wiary i jest odpowiedzialny za jego przekazywanie następnym pokoleniom. Dlatego z pełnym zaufaniem mamy trwać w nim, wzrastając w posłuszeństwie jego nauczaniu, aby nasze myślenie i postępowanie uległo stopniowemu przeobrażeniu. Tylko w ten sposób zostaniemy uwolnieni od ducha tego świata, którym przeniknięte są często nasze zlaicyzowane rodziny, środowiska przyjaciół czy pracy. Staniemy się też prawdziwie uczniami Jezusa, którzy będą zdolni nauczać innych, co znaczy żyć w wolności dzieci Bożych.

Tylko Ty możesz wypełnić serca głód

Kiedy patrzę na różne zachowania swoich dzieci, uczę się wielokrotnie prawdy także o moim życiu. Ostatnio po całym dniu spędzonym w domu z dziećmi na wspólnej zabawie, czytaniu, malowaniu, rysowaniu, tańczeniu itd., wychodząc na codzienną Eucharystię usłyszałam skargę jednej z pociech: „Mamo, czemu ciągle wychodzisz?”. Zrodziła się wówczas we mnie refleksja, że nikt i nic nie jest w stanie zaspokoić naszego serca, najgłębszych pragnień miłości i bliskości. Jedynie Bóg daje pełnię i nasycenie, pokój i wolność. *Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskującej ku życiu wiecznemu* (J 4,14).

Miotamy się, szukając nasycenia naszych serc w drugiej osobie, posiadaniu, znaczeniu, nabywaniu, jednak w tym wszystkim doświadczamy jedynie niepokoju i nowego braku. Dopiero spotkanie z miłością i bliskością Boga prowadzi nas do odkrycia, w którym możemy powiedzieć za św. Augustynem: *Stworzyłeś nas (...) jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie* (Wyznania I, 1).

Niekiedy możemy ulec pokusie gonienia za marnością pozornie słuszną. Trzeba przecież zaspokoić własne potrzeby, zadbać o byt swojej rodziny, troszczyć się o to, by mieć co jeść, gdzie spać, jak wykształcić dzieci itd., a w tym wszystkim zdać się jedynie na własne siły, nie szukając woli Bożej, nie troszcząc się o relacje z Nim i o tych, do których zechce nas posłać, bo przecież ciągle jest tyle spraw do załatwienia. Wir codziennych obowiązków łatwo wciąga, rodząc zabieganie, ciągły niedosyt i frustracje. A przecież powołani zostaliśmy do czegoś więcej! Nasz skarb jest gdzie indziej! Jezus w Swoim Słowie woła: *Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się, i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą i gdzie złodzieje nie włamują się, i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje.* (Mt 6,19-21). Czy usłyszę Jego głos? Czy zawierzę Jego wezwaniu, czy przestanę żyć połowicznie, niby trochę ufając w to, że zatroszczy się On o moje życie, a więcej

budując na sobie, swoich zdolnościach i staraniach? Wystarczy zrobić rachunek sumienia z czasu, który daje nam Bóg. Ile jest w tym, co robię, czym zaprzątam moje myśli, co czynię, budowania relacji z Jezusem, a ile innych trosk i spraw niepoddanych Jemu? Czy jestem, jak chce Bóg, podobny do kupca, który znalazł piękną perłę i nie zawahał się sprzedać wszystko, co miał, by ją kupić albo jak człowiek, który odnalazł skarb w roli i *uradowany poszedł, sprzedał wszystko, co miał, i kupił tę rolę* (por. Mt 13,44-46)? Czy sprzedaję, oddaję wszystko dla Królestwa niebieskiego i do tego czynię to uradowany?

Potrzeba, abyśmy pielęnowali żywą i osobistą relację z Jezusem, by dać się Jego Miłością nasycić. Tym miejscem naszego zakotwiczenia w Bogu jest modlitwa. Pan chce nas przemieniać, wypełniać sobą i posyłać. Chce dawać nam życie w sobie, życie w pełni i obfitości, abyśmy niczego więcej nie pragnęli oprócz Jego samego: *O, gdybyś знаła dar Boży! (J 4,10). Cud modlitwy objawia się właśnie tam, przy studni, do której przychodzimy szukać naszej wody: tam Chrystus wychodzi na spotkanie każdej ludzkiej istoty; On pierwszy nas szuka i to On prosi, by dać Mu pić. Jezus odczuwa pragnienie, Jego prośba pochodzi z głębokości Boga, który nas pragnie. Modlitwa – czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy nie – jest spotkaniem Bożego i naszego pragnienia. Bóg pragnie, abyśmy Go pragnęli* (KKK 2560).

Pan chce nas napełnić Swoją miłością, pokojem i obdarzyć wolnością dzieci Bożych, którym niczego nie brakuje. Pragnie obdarzyć nas Swoim dziedzictwem, z którym żadne ziemskie dobra nie mogą się równać. Potrzeba więc, byśmy wzrastali w poznawaniu Jezusa i dali Mu się prowadzić ku pełni. Niech słowa św. Pawła odnoszą się też do nas, *by Bóg Pana naszego, Jezusa Chrystusa, Ojciec chwały, dał wam ducha mądrości i objawienia w głębszym poznaniu Jego samego. [Niech da] wam światło oczy serca, byście wiedzieli, czym jest nadzieja [naszego] powołania, czym bogactwo chwały Jego dziedzictwa wśród świętych i czym przemożny ogrom Jego mocy względem nas wierzących – na podstawie działania Jego potęgi i siły* (Ef 1,17-19).



O Kościele cierpiącym w czyśccu

Konstytucja dogmatyczna o Kościele – *Lumen gentium* przypomina o istnieniu trzech stanów w Kościele: *Dopóki tedy Pan nie przyjdzie w majestacie swoim, a wraz z Nim wszyscy aniołowie (por. Mt 25,31), dopóki po zniszczeniu śmierci wszystko nie zostanie poddane Jemu (por. 1 Kor 15,26-27), jedni spośród uczniów Jego pielgrzymują na ziemi, inni dokonawszy żywota poddają się oczyszczeniu, jeszcze inni zażywają chwały, widząc „wyraźnie samego Boga troistego i jedyne, jako jest”*. Zatem Kościół pielgrzymujący (ten na ziemi), cierpiący (w czyśccu) i chwalebny (w niebie) jest jeden i trwa w komunii – jak podkreśla to *Katechizm Kościoła katolickiego*. *Wszyscy jednak, w różnym stopniu i w rozmaity sposób, złączeni jesteśmy wzajemnie w tej samej miłości Boga i bliźniego i ten sam hymn chwały śpiewamy Bogu naszemu. Wszyscy bowiem, którzy są Chrystusowi, mając Ducha Jego, zrastają się w jeden Kościół i zespalają się wzajemnie ze sobą w Chrystusie (por. Ef 4,16) (Lumen gentium, 49)*. Ta jedność jest tak silna, że najmniejszy nasz czyn spełniony w miłości przynosi korzyść wszystkim, w solidarności z wszystkimi ludźmi, żywymi czy zmarłymi (...). *Każdy grzech szkodzi tej komunii (KKK 953)*. Chociaż często zdajemy sobie sprawę z orędownictwa świętych, którzy, znajdując się blisko przy Panu (por. 2 Kor 5,8), przez Niego, z Nim i w Nim nieustannie wstawiają się za nas u Ojca, tak jednak niewielu pamięta na co dzień o tym, że cierpiący w czyśccu

również oczekują naszego wsparcia: *ponieważ święta i zbawienna jest myśl modlić się za umarłych, aby byli od grzechów uwolnieni (2 Mch 12,45)*. Katechizm zaś nazywa tę więź ze zmarłymi komunią, wskazując w ten sposób na jej obustronność: *Nasza modlitwa za zmarłych nie tylko może im pomóc, lecz także sprawia, że staje się skuteczne ich wstawiennictwo za nami (KKK 958)*. Co pokazuje nam zatem tajemnica świętych obcowania, jeśli chodzi o dusze czyśccowe?

Orędownik modlitwy za zmarłych

Święty Stanisław Papczyński znajduje się w gronie najwybitniejszych krzewicieli modlitw w intencji zmarłych, jak określił go papież Benedykt XVI w liście z 2006 r. z okazji beatyfikacji. Założyciel Marianów z nakazu Bożego – jak to sam określił – modlił się szczególnie za dusze cierpiące w czyśccu, a zakładając nowe zgromadzenie, nadał mu podstawowy cel: *szerzyć (...) cześć Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Bogurodzicy Dziewicy (...) i wspierać modlitwą dusze wiernych zmarłych poddanych karom czyśccowym, zwłaszcza żołnierzy i ofiar zarazy*. Święty ten nawet w swoim testamencie z 1692 roku napisał: *Moim najmilszym Braciom w Chrystusie najmocniej i jak najusilniej polecam miłość do Boga i bliźniego (...), należytą cześć dla Dziewicy bez zmayı poczętej i pełne zapалу wspieranie zmarłych*.

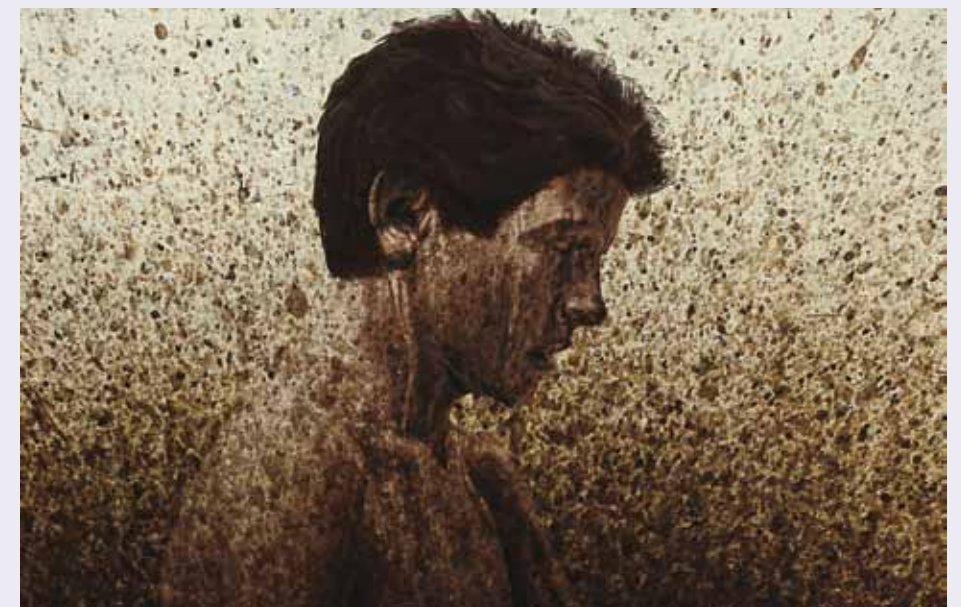
Nietrudno się domyślić, skąd taka gorliwość w spełnianiu uczynków miłosierdzia względem umarłych, wiek XVII, w którym żył ten święty, był bowiem szczególnie naznaczony śmiercią. To właśnie wtedy Rzeczypospolita toczyła wojny z Rosją, Szwecją, Turcją i Kozakami. *Wszystko to niosło spustoszenie kraju, śmierć ludzi, zniszczenie grodów, miast, osiedli; płonęły stepy i pola uprawne, znikaly domostwa i kościoły*. „Nieszczęścia te — pisze ks. S. Sydry — potęgowały klęski żywiołowe: wylewy rzek, niezwykle mrozy i deszcze niszczące zasiewy lub zbiory z pól i tak już licho uprawianych wskutek ciągłych niepokojów. Stąd powstał głód, szerzyły się pomory, epidemie. Spotykało się całe siedziby wyludnione” (ks. Marian Pisarzak MIC, *Orędownik zmarłych i sługa konających*). Historycy doliczyli się w owym stuleciu siedemnastu okresów panowania zarazy, w tym i takich, które trwały kilkanaście lat. Wielu wówczas umierało niespodziewaną śmiercią, zupełnie niegotowych na spotkanie z Bogiem w wieczności. Wprawdzie kontekst historyczny dzisiaj jest inny, ale czy kondycja ludzi nie wydaje się podobna? Czy współczesny człowiek żyje z myślą o śmierci? Czy oczekuje spotkania z Bogiem po tamtej stronie? Ilu jest zaskoczonych tym, że ten moment nastąpił za szybko i niespodziewanie?

Przeżycia mistyczne o. Stanisława były związane z duszami czyśccowymi, dwa z nich zostały udokumentowane. Mówią one o tym, że święty popadł nagle w ekstazę, po której zamknął się na kilka dni w swojej celi zakonnej, aby modlić się i umartwiać za dusze zmarłych. Kiedy mówił na ten temat, zwykle nawoływał o gorliwą modlitwę za dusze, które w czyśccu cierpią nieznośne męki. Sam pisał w *Templum dei mysticum* (1675) o konieczności ich wspierania: *Usilne błaganie Boga o uwolnienie dusz przebywających w czyśccu lub wspomaganie ich zarówno miłosiernymi jałmużnami, jak i różnymi innymi sposobami – to oznaka największego miłosierdzia. Całkowicie bez litości i bez serca jest ten, w kim nie wzbudzają litości ich męki, i kto chociaż może, nie przychodzi na pomoc cierpiącym. Machabejski przywódca Juda, zarówno dzielny, jak i pobożny, „zebrawszy dwanaście tysięcy drachm, posłał do Jeruzalem, aby złożono za grzechy umarłych ofiarę, dobrze i pobożnie o zmartwychwstaniu myśląc” (2 Mch 12,43)*. Uczynił to ten, który był zajęty ciągłymi wojnami, jakie zwykle zabijają miłosierdzie; a czy

mógł on wiedzieć, że Synagoga nie miała możliwości udzielania wiernym zmarłym zasług Chrystusa jaką ma Matka nasza, Kościół Święty? Co my powinniśmy robić, którzy tak wiele możemy u Jezusa i mamy tak liczne bodźce do niesienia pomocy duszom wiernych skazanych na czasowe męki? Dlatego wzbudza we mnie wielkie zdziwienie, dlaczego chrześcijanin nie odczuwa głęboko ich błagania wyrażonego tymi słowami: „Zmiłujcie się nade mną, zmiłujcie się nade mną, chociaż wy przyjaciele moi” (Hi 19,21).

Męki dusz czyśccowych

Św. Katarzyna Genueńska (1447-1510), mistyczka, słynąca już za życia z heroicznymi cnót i srogich umartwień, w swoim *Traktacie o czyśccu* pisała, na czym polega istota cierpienia dusz przebywających w czyśccu i oczekujących na spotkanie z Bogiem: *Gdy Bóg stwarza duszę, wówczas ona wychodzi z rąk Jego czysta, bez żadnej przymieszki, wolna od wszelkiej plamy grzechowej i obdarzona jakąś instynktową siłą, która ją pędzi ku Niemu jako ku ognisku jej uszczęśliwienia. Ale grzech pierwotny bardzo osłabia tę siłę, a jeszcze bardziej grzech uczynkowy. Cóż się więc dzieje? Oto im się bardziej ta siła instynktowa zmniejsza, tym grzesznik staje się gorszym, im bardziej staje się gorszym, tym mu się mniej Bóg przez łaskę swoją udziela, ale to zawsze w ten sposób, że całkowicie nigdy go tej łaski nie pozbawia, inaczej bowiem zbawienie grzesznika stałoby się niemożliwym. Tak więc strata po stracie, po ubytku ubytek, i coraz staje się mniejszym to*



wszystko, co było dobrem w grzeszniku. (...) Jeżeli teraz, mimo tych wpływów Boskich ustawicznie tu na nas działających, dusza nie odzyska w ciągu tego życia swojej czystości pierwotnej – coż wtenczas pozostaje? Oto, że Bóg dokonywuje tego dzieła

właśnie w owych więzieniach czyścowych (...). Gdy zatem dusza grzeszna do swej pierwotnej powraca czystości, do tej niewinności, w jakiej była stworzona, zaraz też odnawiają się jej stosunki z Bogiem. A stąd cóż wypływa? Oto ów instykt szczęścia, który była straciła przez grzechy, powraca znowu, wzmagając się codziennie i ogień Boskiej miłości, rozplamienając ją coraz potężniej, coraz też silniej porywa ją i unosi ku ostatecznemu celowi tak dalece, że każda na tej drodze tama lub przeszkoda staje się dla niej katuszą nie do zniesienia, a im jaśniej spostrzega to, co ją wstrzymuje, tym okropniej cierpi. Gdy zaś dusze w czyścicy zostają już zupełnie wolne od winy grzechu, więc dla nich kara grzechu jest jedyną przeszkodą do nasycenia owego instyktu prawdziwego szczęścia; a gdy znowu te dusze widzą jak najjaśniej, że to tylko ta wątła tama przeszkadza im i nie dozwala unieść się do Boga; że to ta jedyna tylko związka utworzona mocą Boskiej sprawiedliwości zatrzymuje je w nędzy, opóźnia ich szczęście, przeto widzenie to rozplamienia w nich ogień pożerający, ogień zupełnie podobny do piekła pożarów. (...) Dusza pogrążona w tych smutnych niskościach tak żarliwym gorze pragnieniem połączenia się z Bogiem, że już to samo stanowi jej czyścic; nie miejsce albowiem oczyszcza duszę, ale cierpienia sprawiane przez tę przeszkodę, która wstrzymuje nasycenie instyktu jednoczącego i spóźnia połączenie się z Bogiem.

Święta Katarzyna porównała cierpienia duszy podlegającej karze czyścicy do oczyszczania złota w ogniu. Każde zetknięcie drogiego kruszcu z płomieniem powoduje w nim wypalanie tego, co jest jego zabrudzeniem, rdzą czy jakkolwiek domieszką. Tak samo na duszę działa ogień Boskiej miłości, wypalając w niej to, co jest jeszcze nieświęte. Kiedy złoto zostanie całkowicie przepalane i stanie się czyste, wówczas ogień już mu nie szkodzi. Podobnie ma się rzecz z duszą, która *przetopiona, że tak się wyrażę, w tygłu czyścicy, tak się ciągle uwalnia od wszelkich nieczystych napływów, iż w końcu staje się tym, czym była, wychodząc z rąk Boga.* (...) *Wówczas to dusza jak najczystsze złoto, nic już w sobie nie mając do zniweczenia, traci zupełnie czułość i zdolność cierpienia do tego stopnia, że gdyby nawet pozostała w ogniu, żar jego, zamiast jej sprawiać cierpienie, stałby się dla niej ogniem miłości i sprawiałby*

owszem, że w miejscu katuszy znalazłaby niebo. Zatem Bóg, oczyszczając człowieka w ogniu czyścicy, przetrawia i niweczy wszystko, czym on jest naturalnie, aby go przemienić w siebie.

Pomoc zmarłym

Cierpienie dusz czyścowych potęguje fakt, że po śmierci nie mogą już nic uczynić, by przyspieszyć swe oczyszczenie i wyjść z tych okropnych więzień, aby wypłacić się Jego sprawiedliwości aż do ostatniego pieniążka. Tylko modlitwy żyjących, odpusty lub święta ofiara skraca ich cierpienia i są one tą zapłatą



podawaną z ziemi na rachunek ich długu – pisała Katarzyna Genuńska. To jest ta więź z Kościołem cierpiącym, którą Kościół pielgrzymujący powinien podtrzymywać, trwając w duchu wzajemnej miłości. Dlatego też w każdej Eucharystii modli się za zmarłych, udzielając im przez to tych *dóbr duchowych*, których potrzebują. *Łączność zatem pielgrzymów z braćmi, którzy zasnęli w pokoju Chrystusowym, bynajmniej nie ustaje, przeciwnie, według nieustannej wiary Kościoła, umacnia się – podkreśla Lumen gentium.* Każdy nasz akt miłości może stać się pomocą dla duszy cierpiącej, ale też udoskonala nas samych, przygotowując na nieuchronny moment naszego spotkania z Bogiem. Święty Papczyński mawiał, że ile dusz wybawimy z czyścicy, tylu będziemy mieli orędowników w niebie. Niech zatem pamięć o Kościele cierpiącym męki czyścicowe przynagla nas do aktów miłosierdzia nie tylko w dniu wspomnienia naszych bliskich zmarłych, kiedy palimy na ich grobach znicze i stanie się elementem naszej codziennej pobożności.

Jesienny pejzaż

na skrawku błękitnego nieba
cieszą oczy pożółkłe liście brzozy
drżące nieśmiało na wietrze
cisza otaczających grobów
dopełnia nostalgicznego widoku

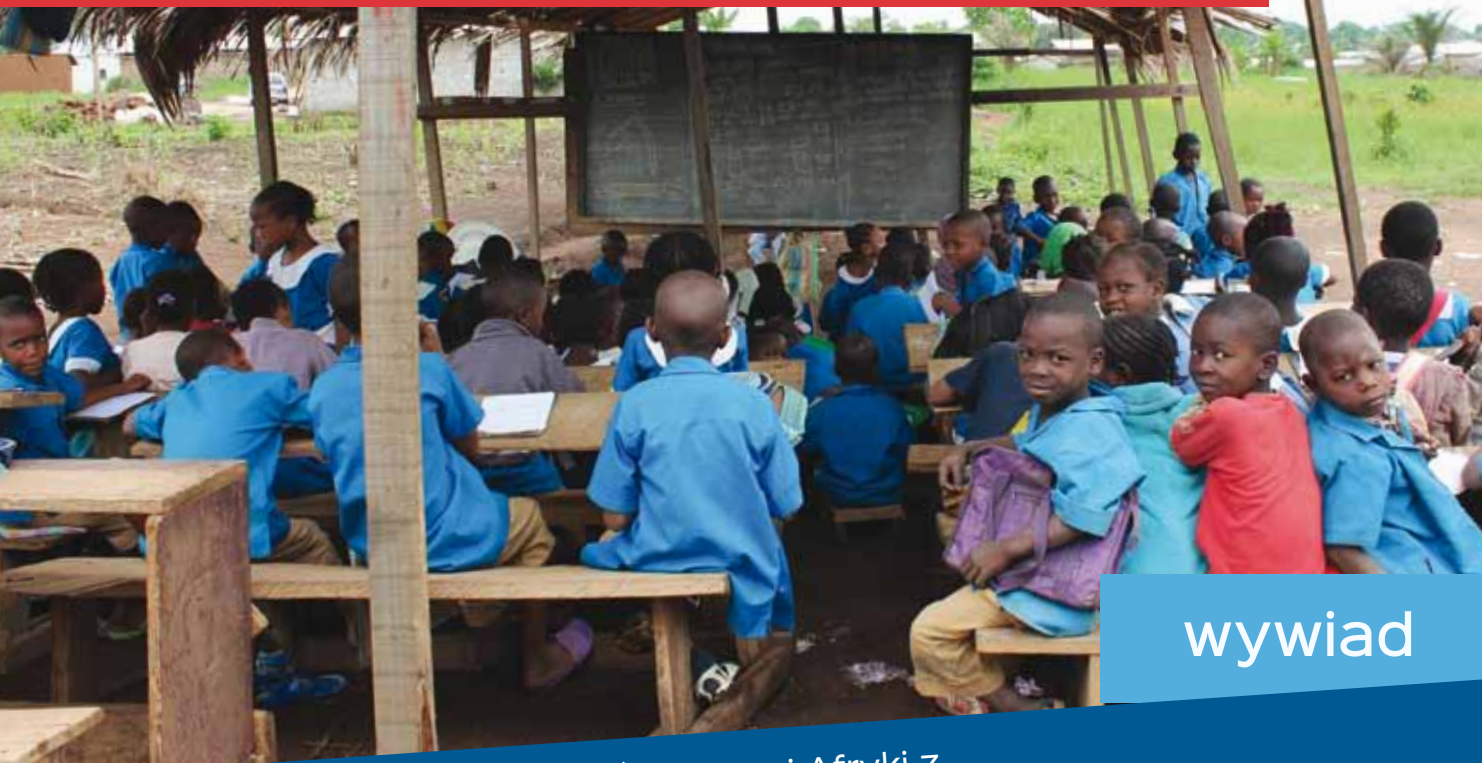
wszystko na tym świecie ma swój kres
i liście które wkrótce opadną
obnażając bezlitośnie konary drzew
i nasze ciała ciężące ku ziemi
z prochu której powstały

dlatego wolę wiosenny tryumf
pękających zielonych pączków
i feerię kolorowych kwiatów
zapowiadających powrót życia
do skostniałych pól i ogrodów

łatwiej wówczas pamiętać
że wszystko przemienia się ale nie kończy
wraz z nadejściem zimy czy ze śmiercią
powrócą ciepłe bezchmurne dni
a nasze oczy otworzą się na wieczność

Dagmara Krzyżanowska

To całkowicie inny świat



wywiad

O pracy misyjnej w Republice Środkowej Afryki z
o. Tomaszem Świtałą OFMCap

rozmawia Tomasz Kalniuk

Prosimy na początku, aby Ojciec nam się przedstawił.

Nazywam się Tomasz Świtała, jestem kapucynem, przynależę formalnie do prowincji krakowskiej (w Polsce mamy jeszcze prowincję warszawską), a od czterech lat jestem misjonarzem. Trzy lata pracowałem w Afryce, w Czadzie, a teraz od roku przebywam w Republice Środkowej Afryki.

Dla polskiego odbiorcy jedno i drugie jest dość egzotyczne. Prosimy o przybliżenie sytuacji tych obydwu państw. Gdybyśmy mieli zrobić quiz, to nazwa drugiego państwa mówi sama za siebie. A Czad?

Republika Środkowej Afryki to serce Afryki, sam jej środek, a Czad jest trochę nad nią. To państwa sąsiednie.

A szerszy kontekst społeczno-polityczny i kulturowy? Czy sytuacja w tych dwóch państwach jest typowa dla całej Afryki?

Kraje Afryki centralnej są krajami ubogimi, to tzw. kraje Trzeciego Świata. Myślę, że Czad jest bardzo biednym krajem. Przebywałem tam trzy lata i widziałem to na co dzień, natomiast RCA jest jeszcze uboższa. Nie ma tam dróg, nie można się spokojnie przemieszczać, terenowe samochody to za mało – zakopują się, bo nie ma asfaltu, mosty są w stanie opłakanym. Pora deszczowa każdego roku degraduje drogi. Między innymi ze względu na to kraj się mało

rozwija. Jeśli chodzi o złoża naturalne, w Czadzie jest ropa, wydobywana od 2005 r., przez co kraj trochę się podniósł. Starzy misjonarze jednak pamiętają, że przed 20-25 laty było odwrotnie – to RCA była bogatsza. To jednak kraje sąsiednie – te granice są nieraz sztuczne, bo plemiona mówiące w jednym języku czy żyjące w danej kulturze mieszkają w każdym z tych krajów i jeszcze w Kamerunie, przedzielone granicą. Niepodległość przyszła w latach 60. ubiegłego wieku i od tego czasu próbują one budować państwowość – różnie to wygląda. Tam oczywiście nie ma takiego pojęcia państwowości w naszym rozumieniu, że tworzymy jeden polski naród, jesteśmy patriotami, czujemy polskość. Oni są z danego plemienia. Bycie Czadyjczykiem czy Środkowoafrykańczykiem jest trochę w dwutakcie. Z jednej strony istnieje naturalna granica, bo przebiega równo z rzeką, ale bez problemu przekraczali ją pirogami ludzie z tego samego plemienia, a teraz są w różnych państwach. To powoduje napięcie. Starzy misjonarze pamiętają, że w RCA, choć to była dawna kolonia francuska, Niemcy budowali drogi. Od tego czasu, kiedy władza zmienia się średnio co 10 lat przez zamach stanu, jest odczuwalna niestabilność polityczna: rebelie, ludzie giną, następuje anarchia, nie ma się do kogo odwołać, każdy robi, co chce, szerzy się bandyctwo, w okresie przejściowym nie działają ani szkoły, ani szpitale. Spowodowało to odwrócenie sytuacji. Czad stał gospodarczo niżej od RCA, a teraz jest odwrotnie. Odkąd rozpoczęto wydobywanie ropy (oczywiście na kontrakcie chyba ze Stanami Zjednoczonymi, czyli jakiś procent tylko zostaje w kraju, reszta wypływa na zewnątrz), widać chociażby lepsze drogi, większą stabilność i bezpieczeństwo. Chociaż nie wiadomo, co to będzie, gdy dojdzie do zmiany prezydenta. Ma on już swój wiek i od 20 lat „demokratycznie” rządzi krajem, z drugiej jednak strony utrzymuje stabilność. W każdym razie złoża naturalne są jakimś bogactwem. W RCA też jest, ale na razie nie wydobywane, dodatkowo złoto i diamenty – bogactwo, ale kto z niego czerpie korzyści? Kiedy przyjechałem z Czadu, to zobaczyłem, że może być jeszcze bardziej ubogo. Ludzie żyją bez prądu, bieżącej wody. Wodę trzeba sobie zorganizować, pójść do strumyka, w większych miejscowościach czy miastach są studnie głębinowe, czasami zdarzają się studnie tradycyjne, ale często wysychają. Przez pół roku deszcz w ogóle nie pada, bo jest pora sucha, a potem przez pół roku pada, jest ciepło, wszystko szybko rośnie. Rolnicy uprawiają ziemię i ona wydaje plony, więc ludzie mogą jakoś wyżyć. To nie Somalia, gdzie są takie susze, że dochodzi do klęsk głodu. Czasami tutaj ludzie umierają z niedożywienia, bo żywność jest niskokaloryczna, posiłki nieurozmaicone, ale głównie jednak z powodu chorób. Osłabione organizmy, szczególnie dzieci, są zaatakowane przez malarię i umierają. Mamy w sobie

taki obraz Murzynka umierającego z głodu – to nie wygląda do końca tak, przynajmniej nie tam, gdzie żyłem. To raczej kwestia medycyny na bardzo niskim poziomie i słabego dostępu do niej. Często ich na nią nie stać. Sam nieraz choruję na malarię, ale biorę lekarstwa i zdrowieję. Kupuję je w większym mieście – są drogie, nie wszyskich na nie stać, ludzie tam leczą się inaczej – chininą. Nie można powiedzieć, że nie mają medycyny w ogóle. Jest taki projekt „Lekarze bez granic” – przyjeżdżają lekarze z Europy i pomagają jako wolontariusze. Są przychodnie, szpitale – choć na najniższym poziomie. Prowadzą je pielęgniarki, mający tylko takie wykształcenie. Robią tam wszystkie podstawowe posługi, jest porodówka, urazówka, nawet drobne zabiegi, pierwszy kontakt, żeby zdiagnozować chorobę. Siostry zakonne wykonują tutaj kawał dobrej roboty, często też z nimi współpracujemy, jeśli chodzi o transport. Czasem trzeba jechać po leki do dużego miasta, a to szmat drogi. Były trudne momenty podczas rebelii, pozamykano szpitale – wiele by opowiadać. Ewangelizacja to pierwsze nasze działanie, a oprócz tego angażujemy się, żeby pomóc od strony humanitarnej przez szpitalnictwo czy szkolnictwo. Budujemy czy rozbudowujemy szpitale i szkoły. Wyraża się to bardzo konkretnie: misjonarz rano ładuje samochód, cement, zbrojenie, deski i jedzie na budowę. Ma swoich miejscowych murarzy, którzy się znają na fachu, ale on koordynuje całość.

Nie jest to pobożnościowy obrazek misjonarza...

...ale taka jest właśnie praca misyjna. Widzimy, że inaczej się sprawuje Eucharystię pod mangowcem, obok którego biegają kozy i wszystko rozprasza, a co innego w zadanej kaplicy, gdzie można się schować w porze deszczowej. Mielismy rekolekcje wielkopostne w buszu pod drzewem, tam były głoszone nauki i odprawiana msza święta. Pod koniec mszy musieli ołtarz (zwykły stolik) i mnie czymś przykryć, bo zaczął padać deszcz.

To jest kompletnie inny świat.

Oczywiście. Mamy pewne wyobrażenie, bo widzimy reportaże czy filmy o Afryce, choć często te filmy pokazują plemiona bardzo skrajne. Afryka jest w jakiś sposób już rozwinięta. Jej mieszkańcy nie skaczą nago po drzewach, choć są oczywiście takie plemiona. Byłem kiedyś odpowiedzialny za taki sektor (parafia składa się z kilkudziesięciu wiosek, podzielonych na sektory; każdy kapłan jest oddelegowany do jakiegoś obszaru – miałem np. 16 wiosek w trzech sektorach), do którego cywilizacja rzeczywiście jeszcze nie dotarła. Telefonii komórkowej weszła do Afryki, można

się tam dodzwonić, ale w tym sektorze w ogóle nie mieliśmy zasięgu, był też zupełnie odcięty od dużych miejscowości. Żeby kupić mięso, coś podstawowego, trzeba było jechać kilkadziesiąt kilometrów. Ludzie tam żyją bardziej dziko – tak jak to czasem widzimy na reportażach – pomalowani, nacinają sobie skórę, mają tradycyjne tańce, inicjacje, czyli wejście w dorosłość, gdy odchodzą do buszu, ubierają się w trawę (choć chińszczyzna wszędzie dochodzi i zalewa również Afrykę).

Czy ten kontekst ekonomiczny, polityczny i to, o czym teraz mówimy, nie był dla Ojca jakimś szokiem?

Nie, wręcz przeciwnie, spodziewałem się raczej, że Afryka to jest coś innego, nie wiedziałem tylko, w jakim kierunku. Dopiero kiedy przyjechałem, wtedy zobaczyłem, jak to wygląda. Trudno to opisać, ten świat jest całkowicie inny. Pewien obraz, który kształtuje się w głowie Europejczyka czy Polaka, siłą rzeczy będzie skrzywiony. Mamy pewne stereotypy. Czasami staram się je obalać, mówić, że Afrykańczycy to nie są osoby, które tylko cierpią i umierają z głodu. Mam taką refleksję po kilku latach pobytu na misjach, że klimat wymusił u nich pewne zachowania. Powstał stereotyp, że są leniwi. Ale jak tu pracować w temperaturze 40 stopni w cieniu? W tym czasie leży się pod mangowcem i odpoczywa, bo trudno cokolwiek robić. To osłabia chęć do rozwoju. W Polsce trzeba zadbać, żeby na zimę był opał, dom musi być szczelny, żeby nie wiało przez drzwi i okna. Tam oni nie potrzebują w ogóle się o to troszczyć, bo najniższa temperatura w ciągu roku wynosi 13-14 stopni. Można wtedy przykryć się kocem i to wystarczy, zresztą takie temperatury są może przez miesiąc, a poza nim grzeje. To też zmienia zachowania, życie. W tym kontekście, w którym żyją, są szczęśliwi. Wiadomo, że zdobycze cywilizacji są dla nich błyskotkami, które pociągają, chociażby telefonia komórkowa. Wielu z nich ma telefony. Nie zawsze mogą zadzwonić, bo to kosztuje, ale posłuchają sobie na nich muzyki i są zadowoleni.

Jak wygląda kontekst religijny? Czy ludzie tam są religijni? Kim są tam katolicy, chrześcijanie?

Wiadomo, każdy człowiek ze swojej natury jest religijny. Oni są wierzący w naturalny sposób, wierzą w różne duchy. Kwestia czarów to wielki temat afrykański, który ich przerasta, nie są w stanie się wyzwolić z

myślenia, że czarodzieje rzucają uroki i czynią zło. Nie dopatrują się go w przyczynach naturalnych, że choroba przychodzi z braku higieny, przez bakterie czy wirusy. Bardziej widzą tu związki magiczne. To jest w jakiś sposób odniesienie do czegoś nieznanego. Na płaszczyźnie takiego gruntu serca przyszło



chrześcijaństwo. Co ciekawe, najpierw przybyli tu misjonarze protestanccy i ich kościoły bardzo się tam rozwijają, ale zaraz po nich dotarli misjonarze katolicy. Jest nas mniej więcej po połowie. Niektóre wioski są tylko katolickie, niektóre tylko protestanckie, a czasem pół na pół – jest i kaplica katolicka, i protestancka. Nie wchodzimy sobie w drogę, a w jakiś sposób nawet współpracujemy. Czasem pojawiają się małżeństwa mieszane, bo ludzie spotykają się ze sobą wszędzie. Cotygodniowy targ to także wydarzenie kulturalne, wymiana towarzyska pewnych myśli, wiadomości, możliwość posłania listów czy paczek do innych miejscowości (u nich nie funkcjonuje taka poczta jak u nas). Co ciekawe: chcą być w Kościele, chcą się ochrzcić. To jest temat związany ze śmiercią człowieka, który jest dla nich niewiadomą i napawa wielkim lękiem. Bardzo celebrować śmierć, stypa trwa u nich 3-4 dni. Dla kobiety 4 dni i cztery noce, dla mężczyzny 3 dni i 3 noce. W tym czasie zbiera się wioska, wszyscy muszą przyjść i opłakiwać zmarłego. Robią to teatralnie, tańczą, śpiewają, piją kawę, herbatę, jedzą. Od razu wiemy, że ktoś zmarł, bo przez całą noc grają na tamtamach i tańczą. Nie chcą umrzeć bez chrztu. Nie widzę tego na poziomie głębokiej wiary, przynajmniej na razie – a raczej lęku. Chcą mieć pogrzeb katolicki, chrześcijański, więc musi być chrzest. My tymczasem chcemy, żeby było do niego przygotowanie. Większość chrzczymy jako dorosłych. Małe dzieci tylko wtedy, gdy są z rodzin chrześcijańskich. Takich jest niewiele,

większość to jednak katechumeni. Przygotowania do chrztu trwają cztery lata. Często jest tak, że dziecko ma 10,11 lat, zapisuje się na katechezę, wstępuje do katechumenatu i uczęszcza na nauki popołudniami 3 razy w tygodniu. Jest katechista świecki, który ma przygotowane odpowiednie materiały w ich języku i uczy ich katechizmu.

Czy jest to jakiś problem dla tego katechumena?

Oni od razu chcieliby mieć kartę chrześcijanina (każdy ochrzczony tam ją dostaje). Dla niektórych – może nawet większości – jest to jedyny dokument tożsamości. Tam nie ma czegoś takiego, jak urząd stanu cywilnego, w którym trzeba zgłosić narodziny dziecka. Oni sami często nie wiedzą, ile mają lat. Nieraz w momencie przyjęcia do katechumenatu nadaje się im



wiek. „Ile masz lat?” – pytamy chłopca. „Nie wiem”. „A kiedy się urodziłeś?” „Też nie wiem”. „To zawołaj mamę”. A mama mówi: „To było... po zbiorach

manioku!” „A w którym roku?” „Nie wiem”. Patrzymy na wzrost: mniej więcej na 12 lat, to tyle wpisujemy. Oczywiście, jest część ludzi bardziej cywilizowanych, którzy znają daty i wiek. U starszych piszemy: „urodzony około”. Zdarzają się w tej grupie także 30-, 40-latkowie albo nawet 60-latkowie. Starszych osób już tak nie katechizujemy, dla nich jest przyspieszony kurs, roczny, żeby czasem nie umarli przed chrztem.

Jeśli jednym z głównych motywów przyjęcia chrztu jest lęk przed śmiercią i ktoś przejdzie tę ścieżkę katechumenatu, to czy to mimo wszystko nie jest powierzchowne i czy on dalej nie będzie łączył zachowań tradycyjnych, magicznych z tym, co usłyszy w Kościele?

Oczywiście, jest to powierzchowne, ale spójrzmy na naszą formację: jesteśmy ochrzczeni jako małe dzieci, później mamy katechezę, zakładamy, że będzie ona także w rodzinie, jest cotygodniowa Eucharystia, sakramenty i też pojawia się pytanie, na ile dojrzała, głęboka wiarę mamy. Mówimy wiele o spojrzeniach magicznych u Afrykańczyków, ale u nas też są wróżki i tego typu rzeczy, i to niemało. Na pewno jest to jakaś powierzchowność, ale dbamy o minimum przygotowania do chrztu, żeby taki kandydat w miarę się orientował, co to jest Kościół, Eucharystia i inne sakramenty. Chrzest łączymy z I Komunią Świętą. I później dążymy do tego, żeby ochrzczony został w Kościele i dalej się formował.

I zostają w Kościele?

Część tak. Wygląda to podobnie jak u nas z sakramentem bierzmowania – może być to pożegnanie z Kościołem, ale dla niektórych nie. Nie można tu generalizować. Owszem, niektórzy mają motywację lękową czy motywację przynależenia do pewnej wspólnoty, bo to jest dla nich ważne, że są chrześcijanami. Oni tego się nie wstydzą, chcą nosić krzyż, który dostają nowoochrzczeni – przed chrztem nie mogą go nakładać. To znak chrześcijanina. Czekają na to, choć nieraz nie mają środków, żeby go kupić. Sprowadzamy je z Polski, żeby każdy mógł je dostać. Są z tego dumni. Nie chcę się zastanawiać, jak to wygląda od strony psychologicznej, ale jest jednak inaczej niż u nas, gdzie religię się spycha do prywatności. Może też wygląda to tak ze względu na islam, który jest zaraz obok. Żyjemy

razem z muzułmanami – w Czadzie są w większości, w RCA odwrotnie – chrześcijan jest więcej. Dwa lata temu były zamieszki, wielu muzułmanów musiało opuścić kraj. Oni swojej wiary w ogóle się nie wstydzą, manifestują ją, ich życie prywatne jest związane z religią. Muzułmański sprzedawca, gdy przychodzi czas modlitwy, klęka przy swojej ladzie na dywaniku i się modli, nieważne, że jest kolejka. Dla niego to normalne. Myślę, że ze względu na to, że chrześcijanie żyją w takim kontekście, także nie wstydzą się swojej wiary. Wierzyć w Pana Boga jest dobrą rzeczą i są z tego dumni.

Nie są prześladowani za wiarę?

Nie. W tych państwach, w których byłem, nie zauważyłem prześladowania. To są państwa laickie, jeśli chodzi o państwowość. Mimo że w Czadzie prezydentem jest muzułmanin, istnieje wolność religii. Mogliśmy funkcjonować normalnie. Słyszymy czasem w telewizji o sektach czy fundamentalistach, ale to są skrajności. Mówię oczywiście cały czas o Afryce centralnej. Pamiętajmy, że Afryka ma wiele twarzy i co innego można powiedzieć o Magrebie czy Algierii. Tam, gdzie byłem, nie czułem się niebezpiecznie, co więcej, muzułmanie mieli przed nami respekt. Kapłani to ludzie od Boga – tak nas nazywali. Współpracowaliśmy z nimi, jeśli chodzi o transport czy handel. Zakładali, że jesteśmy uczciwi. Żeby wybudować kaplicę, musiałem kupić materiał od muzułmanów – dawali nawet dobre ceny.

Było też pytanie o głębokość wiary. Zacząłem może trochę negatywnie, ale są pokolenia, babcie, które przychodzą codziennie do kościoła, bo w miejscowości, w której znajduje się misja, sprawuje się Eucharystię. Mamy stałych by-walców, tak jak w Polsce, i te babcie są wierne. Można na nie liczyć, jeśli trzeba coś zorganizować. One będą gotować, pomagać. To płynie z ich serca szczerego i pełnego wiary. Jest część ludzi, którzy od wielu lat są ochrzczeni i zaangażowani w Kościele, działają też wspólnoty, nawet charyzmatyczne. Szukają głębiej Pana Boga, odwołują się do Pisma Świętego. Myślę, że to jest adekwatne także do naszego życia wiary. Wiadomo, że w Polsce to wszystko bardziej się rozwinęło ze względu na ponad tysiąc lat chrześcijaństwa, podczas gdy tu jest zaledwie sto, więc nie możemy się spodziewać wielkich cudów. W Polsce też można zauważyć część osób bardziej zaangażowanych, część umiarkowanie, część letnich, część pojawia się w kościele tylko raz do roku. Boże Narodzenie, Popielec, Wielkanoc to – tak jak u nas w Polsce – sztandarowe święta, kiedy wszyscy przychodzą do kościoła i świątynia pęka w szwach.

Kościół w Czadzie jest młody, ale nieraz słyszymy, że konieczne jest odmłodzenie Kościoła, że potrzeba młodych w Kościele. Zastanawiam się, co może dać globalnie Kościół w Afryce czy konkretnie Kościół w Czadzie, mimo że jest młody czy niedoświadczony.

Tam Kościół jest młody w sensie chrztu, natomiast jego młodość w innym wymiarze zależy od Nowej Ewangelizacji. To jest odmłodzenie. Nie na zasadzie,



że tam późno przyszło chrześcijaństwo, więc przez to są młodzi i świeży w wierze. W Kościele dopiero co ochrzczonej też można powielać pewne utarte schematy, podawać im stare wino. Wszędzie trzeba nowego ducha, potrzebują też tego misje. Okres pierwszych misjonarzy – kiedy przyszli i zastanawiali się, jak ugryźć temat wśród pogan, tych, którzy wierzyli w cokolwiek, byli bardzo związani z naturą, z cyklem przyrody, ze słońcem, drzewami, pagórkami – już się dawno skończył. Chodziło o to, by to wyrugować i

ochrzcić. Drugi etap na misjach to budowanie struktur – kaplic, kościołów, diecezji, parafii. Teraz to wszystko już mamy i następuje trzeci etap: Nowej Ewangelizacji, pogłębienia. Są takie kraje, jak Nigeria, która jest bardzo katolicka. Mamy stamtąd misjonarki, które przyjeżdżają do Czadu na misje, jak my jedziemy do Rosji czy na Ukrainę.

Chciałem właśnie o to zapytać: czy Kościół w Czadzie jest gotowy do tego, żeby ewangelizować, czy jeszcze potrzebuje być ewangelizowanym?

Tak i nie. W Czadzie jeszcze trzeba ewangelizować. Państwa ościenne, jak Nigeria czy Kamerun (mniej), a przede wszystkim Kongo mają wiele misjonek w RCA. To siostry zakonne, które prowadzą szpitale, katechezę, szkoły. Nie byłem w Kongo, ale domniemywam, że tam Kościół jest bardziej rozwinięty. Misjonarze „biali” pewnie są, ale w dużej mniejszości. Natomiast tutaj, w RCA, jest odwrotnie, nie mamy jeszcze tylu miejscowych powołań, żeby zostawić to małe dziecko i powiedzieć: „Teraz już idź swoją drogą, wydorostałeś i jesteś na tyle dojrzały, że mogę cię puścić samego w życiu”. Wierzymy jednak, że to niedługo nastąpi, bo jak widzimy, w ościennych krajach biskupami są już Afrykańczycy, misjonarzy z zewnątrz przybywa coraz mniej, oni sami organizują misje do innych krajów. W tym sensie Kościół afrykański się rozwija.

Jest jakiś pomysł na ewangelizację Czadu?

Pomysł jest taki, aby misjonarz najpierw ewangelizował siebie, żeby sam głęboko przeżywał relację z Panem Jezusem, który podda mu myśli, co dalej robić. Wiadomo, że w naszym życiu jest różnie, ale im bardziej będziemy starali się sami nawracać, tym większym staniemy się świadectwem dla innych. To będzie zarażało i budowało Kościół. Druga sprawa to proste środki, by dać się ponieść szaleństwu, a także życiu w trochę prostszych warunkach niż dotychczas. Nie ma co ukrywać: misjonarze żyją w strasznie ubogich warunkach, jeśli porównać to z Europą, natomiast jeśli chodzi o tamte warunki, jest to życie ponad stan. Tłumaczymy się koniecznością chociażby posiadania samochodu, który jest czymś niedoścignionym dla normalnego Afrykańczyka, ale bez niego nie dojechałbym do wielu wiosek. Z drugiej strony pojawia się pytanie: czy to ma być taka forma? Może trzeba prościej? Przesiadłem się na motor. Może pewnych rzeczy nie robić, a pójść w duchowość, ale to wszystko nie jest takie proste, gdy się stanie na

Czarnym Łądzie i zobaczy się tę biedę, potrzeby ludzi. Tutaj, w Polsce, jest wiele osób, które chcą i mogą pomóc, dają na to środki, więc coś tam robimy. Pamiętam niesamowitą radość w jednej wiosce, w której pomogłem wybudować studnię głębinową. Nie było tam czystej wody, pili okropną, brudną. Teraz mają normalną studnię z pompą ręczną. Kiedy wypłynęła czysta, dobra woda, zapanowała radość w tej wiosce – to też cieszy, że możemy im dać coś takiego.

Gdybyśmy chcieli wesprzeć materialnie misje...

Jest taka możliwość. W Polsce mamy Sekretariat Misyjny Kapucynów. Na stronie www.kapucyni.pl można znaleźć odnośnik do sekretariatu – komórki, która zajmuje się misjami. Kiedy mamy jakieś potrzeby na projekty, piszemy o nich i oni nam na to przyznają jakąś pulę pieniędzy. Jest też tam numer konta dla tych, którzy by chcieli nas wspomóc. W Czadzie i RCA pracuje kilkunastu misjonarzy z naszej prowincji.

A jakie są teraz Ojca plany?

Teraz będę się zajmował młodzieżą franciszkańską – bo staramy się naszą duchowość propagować także tam, powstają więc takie grupy młodzieży. Organizuję im cotygodniowe spotkania, sesje, rekolekcje, wyjazdy, a poza tym jest praca w buszu. Będę miał swoje sektory, jeden czy drugi, ileś wiosek, które trzeba regularnie odwiedzać. Każda ma swoje problemy, potrzeby, różny poziom wiary.

Działają Ojciec sam czy ma współpracowników świeckich?

Kościół afrykański bardzo współpracuje ze świeckimi, bo kiedy mamy kilkadziesiąt wiosek dojazdowych, a nas jest np. czterech na misji, to w niektórych wioskach ksiądz jest 2,3 razy do roku. Mamy tam więc katechistę świeckiego – to mężczyzna żonaty, z rodziną – który zajmuje się sprawami duchowymi. Co niedzielę prowadzi nabożeństwo Słowa, mówi jakiś rodzaj homilii, kiedy są pogrzeby – on im przewodni, w razie niebezpieczeństwa śmierci udziela chrztu świętego, prowadzi też katechezę. My natomiast mamy szkoły dla katechistów.

Jak długo ta nauka trwa?

To cykl dwuletni. Nauczamy sześć miesięcy w jednym roku, później kandydat wraca do domu. Drugi cykl to następne pół roku. Podczas studium jest z nim cała rodzina, mają swoje domki. Słuchają wykładów biblijnych, homiletycznych, pastoralnych,



ekonomicznych (jak dobrze zarządzać domem, wspólnotą). Staramy się ich przygotować, żeby mogli być odpowiedzialni za wioskę, próbujemy kształcić elitę. Po kilku latach mamy kolejny cykl, poziom wyżej, powtórkę w innym miejscu, podobną szkołę, ale z inną perspektywą jego doświadczenia pastoralnego, pracy w terenie, w wiosce, z ludźmi. Poza tym później przyjeżdżam i te wioski wizytuję. Sprawdzam, czy katecheza jest prowadzona, robię egzaminy katechumenów, czy rzeczywiście na nią chodzili, czy coś wiedzą. Wiemy, że różnie bywa, znamy życie. Mamy listy obecności i wszyscy są, a jednak dzieci nie potrafią nic odpowiedzieć. Czasami istnieje bariera językowa i nie nauczamy bezpośrednio. Katechista mówi katechezę w ich dialekcie. Przygotujemy teksty po francusku lub w języku sango, ogólnym, a oni je tłumaczą. Wtedy to jest bliższe, małe dziecko je zrozumie, bo o to chodzi, żeby Ewangelia dotarła bezpośrednio.

Czyli bez świeckich trudno by było te misje prowadzić?

Tak. Tam świecki współpracuje, a naszym zadaniem i troską jest to, żeby katechiści byli i żeby mieli dobry poziom. To od razu widać: gdy katechista jest dobry, wspólnota też ładnie idzie, a jeśli jest słaby, to i jego podopieczni są słabi. Zawsze pasterz ciągnie za sobą wspólnotę.

Co Ojciec chciałby, żeby się spełniło jako marzenie dla placówki misyjnej, w której

teraz Ojciec działa? Co jest największym wyzwaniem, przed jakim stoi ten Kościół?

Ogólnie pogłębienie wiary, ale istotny jest chociażby sakrament małżeństwa. To bardzo kuleje. Są tu obecne ich silne tradycje, że trzeba kobietę kupić, to dość skomplikowane. Często późno, dopiero gdy mają już dzieci, kilkanaście albo kilkadziesiąt lat pożycia małżeńskiego, wtedy przyjmują sakrament. Wiele lat żyją bez sakramentów, odcięci od komunii świętej. Moim marzeniem byłoby, żeby to odwrócić, ale to długa droga, bo związana jest z mentalnością. Poligamia ją też wykrzywia. Mam marzenie, żeby młodzi z Kościoła naszego, katolickiego nie byli poligamistami, żeby dziewczyna nie chciała zostawać drugą albo trzecią żoną, i było tak jak u nas. Ostatnio błogosławiłem w Polsce małżeństwo dwojga młodych, którzy wchodzą w życie razem, będą czekać na potomstwo. Tam jest wszystko odwrotnie, ponieważ kobieta musi najpierw pokazać, że może rodzić. Jeśli nie zostanie matką, to nie będzie chciał z nią żyć. To długa droga.

Czy to nie zniechęca Ojca?

Nie, absolutnie! Wszędzie są trudności. Pan Bóg ma swój czas i pokazuje drogę.

Bardzo dziękuję.

Toruń, 3 września 2016r. Zdjęcia ze str. 28-29 i 32 pochodzą z prywatnych zbiorów o. Tomasa Świtaly.

NASZA OFERTA WYDAWNICZA



REKOLEKCJE CHARYZMATYCZNE

KS. ARTUR SZYM CZYK

Krwią Jego ran zostaliście uzdrowieni



KS. JOHN BASHOBORA

Bądźcie miłosierni, jak Ojciec...

MARIA VADIA ● Moc uwielbienia

O. JÓZEF WITKO OFM

- Uzdrowiająca moc przebaczenia
- Pan jest z Tobą, dzielny wojowniku!
- Błogosławieństwo i przekleństwo
- Doświadczenie Ducha Świętego

O. ENRIQUE PORCU I O. ANTONELLO CADEDDU

- Duch Święty zstąpi na was i otrzymacie Jego moc
- ... szukajcie tego, co w górze
- Nie dał nam Bóg ducha bojaźni...



Dwumiesięcznik „Poślanie”

ciekawe artykuły świadectwa
wywiady konferencje

W ostatnim numerze m.in.:

Dałam się poprowadzić na głębokie wody cz. II
Święty na nasze czasy



ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY

Pismo można zamówić telefonicznie, mailowo, listownie, a także w naszym sklepie internetowym. Następnie należy wpłacić na nasze konto podaną kwotę (cena za pismo + koszty przesyłki). Po otrzymaniu wpłaty zrealizujemy Państwa zamówienie.

Opłata za prenumeratę półroczną: **13,50 zł** (+ koszty przesyłki)
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **19,50 zł**)
Opłata za prenumeratę roczną: **27,00 zł** (+ koszty przesyłki)
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **39,00 zł**)

KOSZTY PRZESYŁKI:

ilość egzemplarzy	koszt przesyłki
1 - 3	2 zł
4 - 9	4 zł
10 i więcej	7 zł

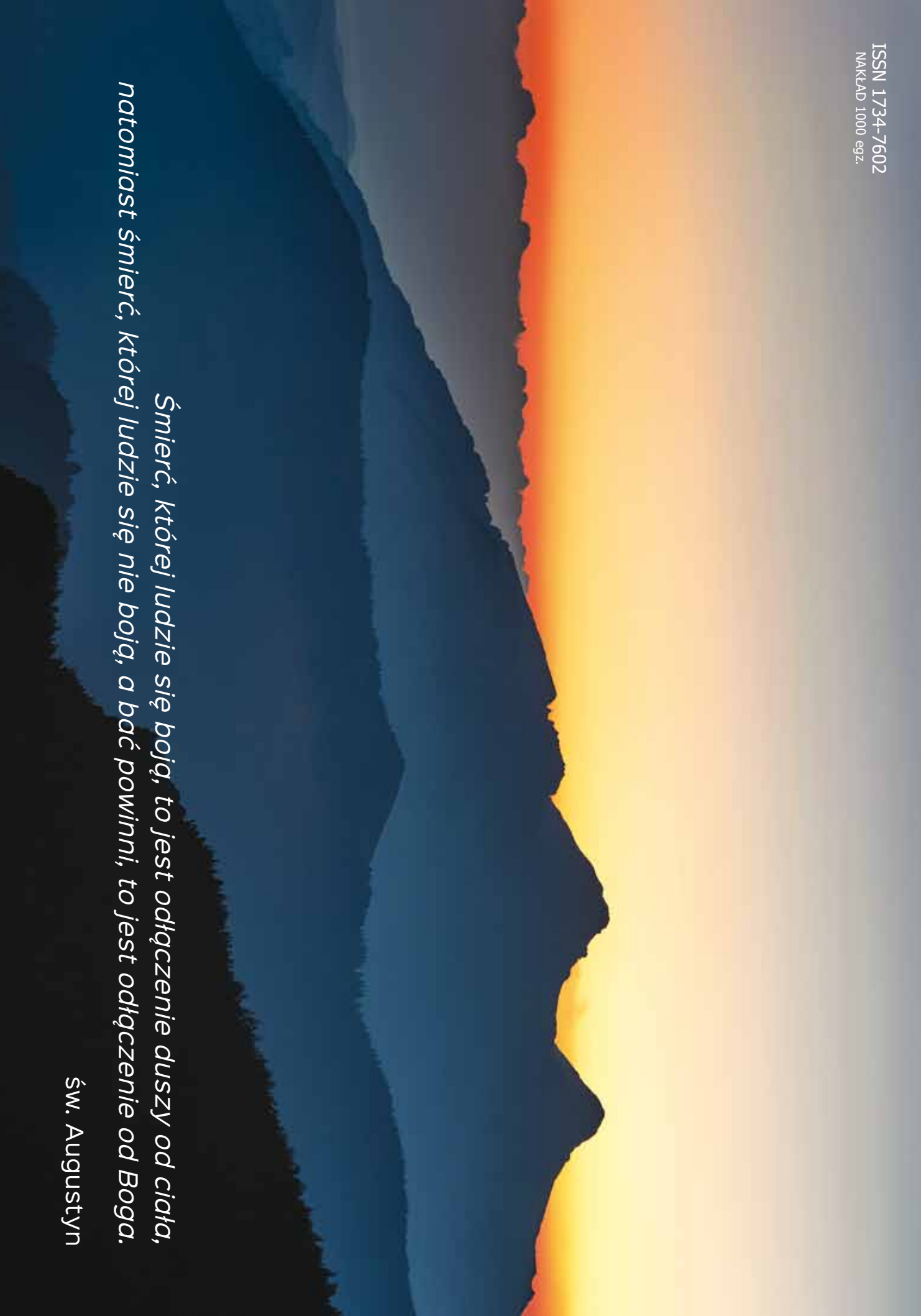
Katolickie Stowarzyszenie Ewangelizacyjne „Poślanie”

ul. Lecha 5-7, 87-100 Toruń

e-mail: sklep@poslanie.pl www.poslanie.pl

tel. 724 171 870 (pon. - pt. w godz. 9:00-17:00)

nr konta bankowego: PKO BP SA 40 1020 5011 0000 9402 0296 5739



*Śmierć, której ludzie się boją, to jest odłączenie duszy od ciała,
natomiast śmierć, której ludzie się nie boją, a bać powinni, to jest odłączenie od Boga.*

św. Augustyn